



CIV 9013

Drukujemy początek powieści Włodzimierza Pietrzaka

Cena zł 20

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV

Warszawa, 30 maja 1948 r.

Nr 22 (131)

TREŚĆ NUMERU: A. Zatopiński – Szczęście – rzecz najważniejsza, Z. Lichniak – Spór o metodę, A. Korecki – Wspomnienie o Mieczysławie Niklewiczu, J. Stwora – Przyływ, A. Gella – Perspektywy rzeźbiarstwa, Wędrowki po scenach polskich, Nabyć, czytać, nie czytać..., W. Pietrzak – Lot jaskółek, Film, Czetelnik uważa, że...

Jan Papini

ANTYKOŚCIÓŁ

1
W owym okresie czasu, który graniczy z jednej strony z „ogrodem” jansenizmu szesnastego wieku, a z drugiej z romantycznym i idealistycznym „lasem” wieku osiemnastego, wieku Arkadii i Gilotyny, zamiast nosić miano wieku Rousseau i Woltera, powinien się raczej nazywać wiekiem Casanowy i Cagliostro — ukształtowały się główne dogmaty „Antykościół”. Jeżeli wiek szesnasty jest „wiekiem kłopotliwych gorączkowych”, a wiek osiemnasty „wiekiem głupim”, to wiek siedemnasty jest w swej istocie wiekiem herezji. Wiek piętnasty, choć zdawałoby się zaśnąć, bardziej na to miano z powodu swych różnorodnych reformatorów, był jednak jeszcze wiekiem chrześcijańskim, wiekiem wiary. Jego najbardziej gwałtowni i fantastyczni reformatorzy traktowali Objawienie jako sprawę poważną i w dalszym ciągu, podobnie jak w wiekach średnich widzieli prawdziwe przeznaczenie człowieka nie na ziemi i nie w granicach czasu, ale w niebie i w wieczności.

W wieku siedemnastym sprawy uległy zmianie. Fanatyzm, — który na kształt tęcza nękał ludzkość, ustąpił miejsca suchotom sceptycyzmu: po przeniawierczym pesymizmie kalwinistów pojawili się „nosi-ciele światła”, pełni zadowolenia z siebie i głupiego optymizmu. Biblia, czczona i komentowana, jako dzieło przez Boga natchnione, stała się celem dla strzał zatrutych szyderstwem. Protestanci powstali przeciwko Rzymowi. Banda Woltaire’a i Holbacha wystąpiła przeciwko Rzymowi i przeciw Niebu, przy czym nie chodziło już tylko o uduszenie papieża, o czym marzyli pijani landsknechci księcia de Bourbon, lecz celem jej było hasło pana de Ferney: „ecraser l'infâme” — to jest Boga.

I zanim jeszcze doktor Guillotin, adwokat Robespierre i porucznik Buonaparte wyciągnęli logiczne konsekwencje z pewników, które zostały przyjęte przez ten wiek wstępny i chcąc zapewnić wolność myśli zdjęli z karków kilka tysięcy głów, poddali Europę przymusowemu upustowi krwi, ukształtowały się trzy podstawowe dogmaty

„Antykościół”. Pierwszy: człowiek rodzi się jako istota dobra z natury. Drugi: ludzkość, dzięki wyzwoleniu myśli i odkryciom nauki, w tym zdąży coraz śpieszniej i nieomylnie w kierunku coraz większego postępu. Trzeci: w najbliższej przyszłości będziemy się cieszyć rajem na ziemi i tylko na ziemi.

Jest to całkowite i pełne odwrócenie nauki Kościoła, to jest Chrześcijaństwa. Dogmat o naturalnej dobroci człowieka zaprzecza istnieniu grzechu pierworodnego. Dogmat o nieskończonym i nieokreślonym postępie przeciwstawia się katolickiej zasadzie, wedle której, prawdziwy postęp, jest to postęp moralny wewnątrz ludzi. Dog-

mat o przyszłej szczęśliwości ziemskiej przeciwstawia się samej istocie życia chrześcijańskiego, które opiera się w pełni o życie przyszłe i uważa za ziemie tylko za ciasny przedsiónek wieczności.

2

Półtora wieku minęło od czasu, gdy owe trzy dogmaty, głoszone przez ogólne i powszechne szaleństwo wieku, co widział śmierć Bosueta i narodziny Manzoni, stworzyły fundament Antykościół. Jakże więc, w świetle doświadczeń ubiegłych piętnastu dziesiątków lat przedstawia się prawda i błąd w owym wyznaniu wiary nie wierzących?

Zostawmy na boku, świadomie, odpowiedź, jaką daje na nie apologetyka katolicka, którą przeciwnicy mogliby odrzucić, podejrzewając ją o tendencyjność. Powołamy się raczej na wyniki doświadczenia historycznego i na nieuzgodnione odpowiedzi uczonego, satanisty i schizmatyka.

Zygmunt Freud, zdaniem moim, pogrzebał raz na zawsze mit głoszony przez Rousseau'a o pierwotnej dobroci człowieka. Wykazując, zgodnie z twierdzeniami świętego Augustyna i de Maistre, jaka prze-wrotność tkwi już w duszy dziecka, jak wiele nikczemności ukrywa się w zakamarkach dusz — potwierdza — zastępując w tym moralistów ka-

tolickich — prawdę nieodpartą o grzechu pierworodnym.

Co się tyczy postępu, to każdy, kto posiada oczy, widzi dziś lepiej niż u schyłku 16 wieku, jakie skutki sprowadziły odkrycia naukowe i liczne środki oswobodzenia człowieka od przemocy okoliczności zewnętrznych z chwilą, gdy nie idzie z nimi w parze prawdziwa przemiana dusz i udoskonalenie duchowe. Cześć dla siły fizycznej i skuteczności praktycznego działania, rozwinęły najbardziej dzikie strony charakteru człowieka. Oderwała go ona od kontemplacji duchowej i od wewnętrznego doskonalenia się, a zachęciła go do pijanego szaleństwem dążenia do zdobycia świata. Przekształciła go w maszynę opanowaną przez maszyny, w cyfrę, opanowaną przez cyfry. Człowiek współczesny, który stał się twórcą postępu, zapowiedzianego i przygotowanego przez ludzi siedemnastego wieku jest mającym barbarzyńcą, który może posługiwać się olbrzymimi siłami natury i mechaniki na kształt maczugi, aby zaspokajając swoje drażniące, destrukcyjne, orgiastyczne instynkty. Baudelaire, autor „Litani Sztana” streszcza wyniki tego doświadczenia: „Jedyny prawdziwy postęp polega na zmniejszeniu śladów grzechu pierworodnego”.

Próby stworzenia szczęścia ziemskiego przy pomocy nauki, zgodnie z obietnicami „Antykościół” na pewno doprowadziłyby do kłeski.

Doktryna chrześcijańska natomiast, umieszczając nagrodę, za poniesione cierpienia w wieczności i wyznaczając każdej z dusz wynagrodzenie lub karę jest zgodna nie tylko z Objawieniem i logiką, ale również z najbardziej elementarnymi wymaganiami tego zmysłu sprawiedliwości, który jest natchnieniem myśli wszystkich ludzi, bez względu na ich wiarę.

Tak więc trzy fałszywe dogmaty Antykościół zostały obalone i zaprzeczone nawet przez tych, którzy nie są członkami nieomylnego Kościoła.

(Tl. A.D.)

WYTYCZNE

Życie rodzinne

Ponieważ rodzina jest tym źródłem, gdzie człowiek otrzymuje życie, tą pierwszą szkołą, gdzie się uczy myśleć, pierwszą świątynią, gdzie się uczy modlić, więc jest zasadniczym obowiązkiem człowieka zwalczać to wszystko, co rodzinę burzy i narusza, popierać to wszystko, co sprzyja jej stałości, jedności i płodności.

Rodzina, ustanowiona wprost przez naturę, posiada jako swą podstawę zasadniczą instytucję małżeństwa, wynikającego z wolnej zgody obopólnej i nierozwiązalnego małżeństwa, wzniesionego przez Chrystusa do godności Sakramentu.

Rodzina zawiera w sobie społeczność, łączącą małżonków, społeczność rodzicielską, łączącą dzieci z rodzicami, a też i przez analogię dzieci przybrane i służbę, więc domowników. Głową takiej rodziny jest przede wszystkim ojciec, matka podziela władzę ojcowską, a w razie braku ojca, spełnia ją niepodzielnie.

Władza rodzicielska, rządząca dobrem ogólnym rodziny, posiada swe obowiązki i prawa, starsze i wyższe ponad wszelkie prawa ludzkie. Te obowiązki i prawa biorą swój początek w samym celu, jaki natura wyznacza społeczności rodzinnej: związku małżonków i wynikającego zeń przykazania, wychowania i rozwoju życia, aż do doskonałości moralnej; — utrwalenia rodu ludzkiego.

10 — 13 teza Kodeksu Społecznego (Code Social), opracowanego przez „Międzynarodowy Związek Badań Społecznych” w Malines (Belgia), Związek tworzą czołowi przedstawiciele nauki katolickiej.

OFIARA złożona na Katolicki Uniwersytet Lubelski

TYDZIEŃ K.U.L.

to wyraz troski

TYDZIEŃ K.U.L.

o ideały naszej młodzieży

Dm 19/052

W świetle...

15 MAJA, w chwili po zakończeniu mandatu brytyjskiego, ogłoszone zostało w Tel-Awivie państwo żydowskie — „Erec Izrael“ — z premierem Ben Gurionem i prezydentem prof. Weizmanem. Równocześnie wojska egipskie, transjordańskie, syryjskie oraz Ligi Arabskiej pod wodzą pułkownika brytyjskiego Golhnb-Paszy wtargnęły do Palestyny celem nie tylko zajęcia terenów przyznanych Arabom decyzją ONZ, ale całej Palestyny. Rozgorzała zacięta wojna między wojskami arabskimi a żydowskimi. Szczególnie ostre i długie są walki o Jerolimę. Już w kilka minut po proklamacji państwa Izraela — poszczególne rządy światowe zgłosiły jego uznanie. Pierwsze uczyniły to Stany Zjednoczone. W tej chwili uznały Erec Izrael — prócz USA — Polska, ZSRR, Czechosłowacja, Jugosławia, kilka państw południowej Ameryki. Zapowiada swe uznanie Francja. Jedynie Wielka Brytania jest temu oporna i zonglując fikcyjną równością praw arabskich i żydowskich — wzbrania się nie tylko potępić agresję arabską i przerwać Transjordanii dostawy broni realizowane na mocy niedawnego układu handlowo-militarnego, ale oddziałuje też w tym kierunku na państwa Europy Zachodniej i paraliżuje skuteczną akcję ONZ. Rada Bezpieczeństwa mając, pod tym względem jednomyślność ZSRR i USA oraz poparcie Francji już cały tydzień wskutek stanowiska W. Brytanii, nie może doprowadzić do rezolucji uznającej Arabów za napastników, a tym samym do uruchomienia całego aparatu interwencji członków ONZ przeciw Arabom, która jedynie skutecznie mogłaby położyć kres agresji arabskiej i przelewowi krwi w Palestynie. Tym więcej, iż Stany Zjednoczone gotowe są dostarczać broni dla Żydów. Wprawdzie Arabowie zapowiadają swe wystąpienie z ONZ w razie takiej uchwały, ale sądzić należy, iż na opuszczeniu ONZ państwa arabskie więcej by straciły, niż na podporządkowaniu się uchwałom Narodów Zjednoczonych. Kunktorskie stanowisko Wielkiej Brytanii przedłuża wojnę w Palestynie, ONZ ciągle jeszcze nie mogąc zdobyć się na skuteczną ingerencję w sprawę tej wojny — delegował do Palestyny specjalnego mediatora w osobie hr. Folke Bernadotte, zadaniem którego jest doprowadzić do rozejmu. Arabowie jednak o rozejmie ani nie chcą słyszeć nawet!

Na tle sprawy palestyńskiej zarysowała się ciekawa konkurencja między Stanami Zjednoczonymi, a Wielką Brytanią. Zachodnio-europejski i akt pięciu zaczyna okazywać się instrumentem działania politycznego, nie tyle w rękach USA, co właśnie W. Brytanii.

STALIN — WALLACE

HENRY WALLACE — szef amerykańskiej liberalnej opozycji natychmiast po nocie Departamentu Stanu z dn. 4 maja br., skierował list do Stalina, w którym proponował pokojowe załatwienie różnic dzielących ZSRR i USA na wspólnej konferencji Wielkiej Trójki. Odpowiedź Stalina skierowana pod adresem

Zaczną od przypomnienia. Przed samą wojną, pewien dziennikarz szwajcarski przeprowadził wywiad z Mussolinim. Pytał go o różne rzeczy, a w pewnym momencie zagadnął:

— Niech mi pan powie Duce! Czy Włosi czują się pod pańskimi rządami szczęśliwi?

Benito, który dotąd odpowiadał dość szybko i składnie, zaczął się w tym momencie, umilkł, aż wreszcie rozłoszczony przyznał:

— Wie pan, że nad tym się naprawdę nigdy nie zastanawiałem!

Słyszycie? W tych słowach zawiera się cała epoka!

Człowiek mówiący o szczęściu jeszcze do niedawna uchodził w oczach ponurych realistów za skończony wariata. Faszystom przyzwyczail nas do innej gwary.

Historyków, zastanowić musi ten objaw cynicznej obojętności i niedowierzania. Na innym miejscu, stwierdziliśmy, że podstawa wszystkich chorobliwych zbrodni ery faszystowskiej, był kult mitycznego ogółu. Zamiast konkretnie wylegi tymować wartość danego ustroju przez kolejne i szczegółowe sprawozdanie, jakiej poprawie uległ los Piotra, Jakuba czy Jana z bliska wyraźnie widoczny, myśliciele ówczesni lubowali się w pustych i dętych abstrakcjach. Co gorsza, szerzyli oni herezję, przypisując zbiorowości byt nadrzędny i samoistny, nie pokrywający się bynajmniej z egzystencją milionów ludzi bezpośrednio dostępnych doświadczeniu.

Terror platońskiego idealizmu na gruncie socjologii, prowadzi do ubóstwienia pojęcia narodu, kosztem wszystkich jego rzeczywistości istniejących członków. W obrębie tego systemu myślenia, jednostka niezdolna zawrzeć w sobie wszystkich potencjalnych sił i możliwości gatunku, jest tylko cząstkowym i niedoskonałym wcieleniem idei państwa czy grupy społecznej. Cała jej wartość streszcza się w poświęceniu na rzecz wiecznie nienasyconej i niewidzialnej „całości“.

Hitler uważał, że człowiek zaczyna się od miliona — poniżej tej cyfry nie chciał dyskutować. Widzenie świata w liczbie mnogiej, okazało się najstraszniejszą chorobą tych czasów.

Dziś po zniszczeniu faszyzmu trudno przypuścić by istniały poważniejsze grona propagatorów kultu ogólników, których nikt nie widział. Platońska obsesja na gruncie socjologii, jest rzeczą całkowicie dojrzałą do zlikwidowania. Wiemy, że „bożek - ogólniak“ jest obrzydliwym i pustym pretekstem, patronującym nędzy i upośledzeniu.

Badając praktyczną przydatność naszych urzędów społecznych, przede wszystkim interesujemy się losem jak największej ilości konkretnie żyjących jednostek. Styl nowoczesnego myślenia, odróżniać każde i wyodrębniać. Tu przede wszystkim chodzi o specyfikację, o szczegóły w ich powiązaniu wzajemnym.

Coraz bardziej nieufnie odnosimy się do uogólnień. Uogólnienia bowiem dotyczą zawsze skończonej liczby wypadków, którym poza nimi nic nie odpowiada.

Wallace'a, a zawierająca powtórne sprecyzowanie pokojowych tendencji ZSRR i gotowość odbycia bilateralnych rozmów — doczekała się dziwnego komentarza ze strony Departamentu Stanu. Departament Stanu, — stwierdził, iż nie ma podstaw do rozmów specjalnych między ZSRR a USA, gdyż wszystkie sprawy sporne poruszane są na terenie ONZ; jeśli bezskutecznie — to właśnie z winy ZSRR.

Artur Zatopiński

Szczęście - rzecz

(O ostatniej książce prof.

Kiedyś, ludzie sprzeciali się o to, czy idee, będące prawzorami istniejących rzeczy, posiadają byt samolstny i niezależny, — czy też egzystencja ich bez reszty wyzerpuje się w ukształtowaniu przedmiotów wyposażonych w gatunkowe cechy. Średniowieczny spór o nominalizm i realizm, uznany przez postępowych mądrali za rekwizyt epoki zamierchłej, z żywiołową siłą odradza się dziś na gruncie socjologii i występuje w przebraniu społecznym.

Uroczyściej schematologii, przeciwstawia się umiłowanie żywego konkretnego, który jest jedynym realnym sprawdzianem wartości urzędów społecznych.

Mówiąc słowami Bethama, interesuje nas największe szczęście największej ilości jednostek. Tylko to jest ważne. Cała reszta opiera się na deklamacji. Ba, ale co rozumie my przez szczęście? W poszukiwaniu trafnej odpowiedzi, warto zapoznać się bliżej z historią tego zagadnienia. Jest właśnie dobra okazja. Akurat wyszła z pod prasy książka prof. Wł. Tatkiewicza „O szczęściu“, najciekawsza ze wszystkich, jakie zdarzyło nam się czytać od szeregu lat.

Zawdzięczając jej ogromne satysfakcje intelektualne, chciałbym zdać sprawę z lektury dla laików w pełni dostępnej.

Dlaczego? Bo rzecz została świetnie napisana. Autor, pogodził finezję i wdzięk z pojęciową precyzją z ścisłością metodologiczną. Ale ciężaru erudycji nie znać. To naprawdę czyta się jak powieść. Fakt, że podobne dzieło mogło u nas powstać w czasie okupacji, głębiej mówi o sile ducha polskiego niż wiele zbrojnych zamachów. Ktoś przecież potrafił psychicznie niezależnie się od tego cyklu katastrof i przez samo podjęcie tematu rzucić wyzwanie swym czasom.

Książka Tatkiewicza posiada dziś aktualność najwyższą. Właśnie teraz, kiedy przystępuje się do tworzenia nowych form ustrojowych, zagadnienie szczęścia nie może być obojętne dla ludzi zaangażowanych w robocze społecznej. Budowa nowej rzeczywistości ma tylko wtedy sens, gdy zmierza po linii najwyższych pragnień ludzkich. Trzeba je dobrze poznać, aby móc sprostać zadaniu.

Przystępuję do sprawozdania. W rozdziale drugim — autor podaje definicję, ważną dla całości dzieła. Taką: „Szczęściem jest trwałe, pełne i uzasadnione zadowolenie z życia“. Określenie to, nie odpowiada na pewno sugestiom mowy potocznej, ale o co innego tu chodzi, mówiąc mniej ostrożnie, płacemy za sobą zazwyczaj cztery, zgoła różne znaczenia tego wyrazu. Profesor zdaje sobie z tego sprawę, wymienia je też po kolei stwierdzając: „Szczęśliwy jest po pierwsze ten, komu sprzyja pomyślny los, po drugie, kto doznaje najintensywniejszej radości, po trzecie, — kto posiada najwyższe dobra i po czwarte, kto jest zadowolony z życia!“

W tym miejscu słyszę już okrzyk: Dobrze. Chcemy wiedzieć jedno. Czy szczęście naprawdę istnieje?

Autor odpowiada: „Zależy to przede wszystkim od tego, czy szczęście rozumie się empirycznie czy idealnie. Szczęście empiryczne istnieje, a idealne nie istnieje. Niekiedy twierdzą, że szczęście nie tylko nie istnieje, ale nawet nie może istnieć, bo dodatnie stany uczulowe występują w związku z ujemnymi, radość z cierpieniami, gdzie zaś są stany ujemne

cierpienia tam nie ma szczęścia. Otóż ten pesymistyczny wniosek pochodzi stąd, że do empirycznego szczęścia stosują wymagania czerpane z idealnego pojęcia szczęścia, tymczasem cierpienie nie stoi empirycznemu szczęściu na przeszkodzie. Mówi się, że nie można być szczęśliwym, bo nie można być zupełnie zadowolonym z życia, a zupełnie zadowolonym nie można być, bo życie zawsze ma takie czy inne braki. Tymczasem, przy innym rozumieniu żadne braki nie stanowią przeszkody w szczęściu, bo decyduje o nim tylko zadowolenie tkwiące w głębi świadomości, które mimo braki może być zupełne.“

Czy jest osiągalne.

Pomiędzy teoriami odpowiadającymi na to pytanie, jedna odpowiada, że najpewniej można je osiągnąć wyrzekłszy się tego, co w życiu najponętniejsze: przyjemności, ambicji, dóbr zewnętrznych. Ta teoria nie jest odosobnionym pomysłem, lecz bywała głoszona przez mędrców różnych czasów. Natomiast szerokie rzesze uważają ją za wierutny fałsz. Chciałyby bowiem szczęścia, które się dostaje szczęśliwym trafem bez wysiłku, mędrcy zaś, szukając sposobów na szczęście wiedzą, że na traf nie ma sposobów.

Ideał XIX wieku.

„Zamożność zdrowie i spokój, w nierozzerwalny sposób sprzęgły się w świadomości ówczesnych ludzi ze szczęściem. I dziś niejeden rozumie je, jako spokój, beztróskę, wygodny tryb życia, ukojenie, wolność od trosk i w tym duchu zwięza jego pojęcie. Jest mu szczęście nie tylko przeciwieństwem niezadowolenia, ale także niepokoju, wysiłków walki. „Co ona nazywała szczęściem mówi jeden z bohaterów Gide'a — to ja nazywałem wypoczynkiem.“ I jeśli dla jednych nie ma innego szczęścia niż sielankowe, to inni wprost przeciwnie nie rozumieją innego szczęścia niż dramatyczne, bo tylko w dramatycznym życiu w napłęciu, niebezpieczeństwie, ryzyku, znajdują zadowolenie. I gdy ci określają pojęcie szczęścia, to czynią to inaczej niż tamci.“

Historia tego pojęcia.

„We wczesnym, jakby przedhistorycznym okresie szczęście nie znaczyło nic innego niż pomyślność. Potem, przez długi okres trwający przez znaczną część starożytności i przez średniowiecze znaczyło tyle co: doskonały stan człowieka, co posiadanie przezeń największych zalet i dóbr. Czasy nowe, przyniosły przemianę i pojęcie szczęścia sprowadziły do pojęcia przyjemności. Dzieje pojęcia szczęścia, wahały się zwłaszcza między dwoma krańcami: między pojmoowaniem szczęścia, jako doskonałości, a pojmoowaniem go jako przyjemności. I w dzisiejszej swej postaci, pojęcie to ma w sobie elementy zarówno doskonałości, jak i przyjemności. Naturalną była tendencja dawnych wieków, by sprowadzić pojęcie szczęścia do doskonałości lub przyjemności: oba bowiem zdają się być prostsze i wygodniejsze, łatwiej można operować nimi niż złożonym pojęciem szczęścia. A jednak, mimo swe metafizyczne braki, jest ono potrzebne. Bo każdy człowiek czuje się, albo nie czuje się, zadowolony ze swego życia i chce temu uczuciu dać wyraz — być zadowolonym z życia, to jednak co innego niż osiągnąć w nim doskonałość, a także niż doznać w nim wielu przyjemności.“

Jakich; Zaraz się im przypatrzy-

my. Najpierw trzeba podać autorski komentarz.

„Gdy doznajemy stanu przyjemnego o największej intensywności to mówimy wtedy o szczęściu. Jest to szczęście w rozumieniu psychologicznym. Tak rozumiane, jest superlatywem przyjemności. Ma cechy raczej radości niż zadowolenia, bo jednak wyższą intensywność daje afekt niż przeżycia intelektualne“.

Doświadczenie mistyczne.

Idąc drogą, niespodziewanie, bez żadnego przygotowania — tak opowiada ktoś o przeżytych przez siebie mistycznym szczęściu — poczułem, że jestem w niebie: był to stan wewnętrzny pokoju, radości i jakiejś pewności niewypowiedzianie silnej; towarzyszyło temu wrażenie kapania się w jasnym, ciepłym świetle, które jakby z zewnątrz przenikało do wnętrza. Wydawało mi się jakbym przerastał własne ciało, choć wszystko wokół mnie było jeszcze jaśniejsze i bliższe.

Opinia teologów.

Teologowie, którzy zastanawiali się nad najwyższym szczęściem dusz zbawionych w niebie twierdzili, że wyróżnia się ono właśnie czym innym niż intensywnością, że intensywne jest takie same jak szczęście ziemskie, natomiast różni się odeń extensive. Chcieli powiedzieć przez to, że przyjemności niebiańskie, nawet największe nie są bardziej intensywne, nie mają większego napięcia niż te, które znamy — natomiast pełniej działają na jednostkę. W myśl tego stany przyjemne doznawane w szczęściu niebiańskim, nie pozostawałyby na powierzchni świadomości, lecz byłyby dogłębne, przenikały ją całkowicie do głębi. W twierdzeniu tym wypowiada się myśl psychologiczna, mająca zastosowanie nie tylko do szczęścia doznawanego w niebie ale i na ziemi.

To też ma swój smak.

Podobne ualenienia bywają przyżywane w miłości. „Była to rozkosz zaiste śmiertelna — pisał Żeromski w Popiołach — szczęście jednej chwili trwające przez wieczność... Gdyby jedną chwilę trzeba było oddać, cofnąć, odjąć sobie za cenę życia rzekliiby się życia z drwiącym uśmiechem.“ A w innym miejscu opisuje początek Rafała i Heleny: „Wtedy doznał na chwilę szczęścia jakby cudzego, rozkoszy niedościgłej, zgoła czystej zazłemskiej, nieprzemierzanej jak niebo“.

Stany takie występują też niekiedy w obliczu natury i sztuki. Joasia z Ludzi Bezdolnych opowiada o swym powrocie do wsi rodzinnej: „otoczyły mnie kwiaty moje, zaroiła. Szłam w szczęściu niby w jakim obłoku“.

Ważne rozróżnienie.

Te najbardziej intensywne i ekstensywne przeżycia, które nazywamy szczęściem mają dwie różne, a nawet przeciwstawne postaci — są bądź urojeniem, bądź ukonieniem. Jedne polegają na największym napięciu i podnieceniu psychicznym, drugie właśnie na zupełnym odprężeniu. W pierwszych przeżywa się jakby wspaniałą radość w drugim — obowiadającym błogość. W pierwszych przeżywa się, mówiąc słowami Żeromskiego, „nieopisany upał szczęścia“, drugie — są raczej chłodne. Upojenie jest wesole, a ukojenie tylko pogodnie czy nawet, jak pisze Huxley, melancholijne, jak melancholijny są najpiękniejsze krajobrazy. Ukojenie łatwiej wyrazić muzyką niż słowami. Lepiej wyraża je preludium Chopina, niż słowa które doń napisał Ujejski. Ale nie

Zapraszamy do dyskusji!

najważniejsza

Władysława Tatarkiewicza

inaczej jest z upojeniem. Zarówno jeden jak i drugi rodzaj przeżyć, zarówno szczęście upojenia, jak szczęście ukojenia występują w miłości, w obcowaniu ze sztuką, w stanach mistycznych. Niepodobna jednocześnie przeżywać upojenia i ukojenia, natomiast nieraz błogie ukojenie przychodzi bezpośrednio po upojeniu, odprężeniu po napięciu.

Takie jest zdaniem autora szczeblowanie stanów przyjemnych: od prostej przyjemności poprzez radość i zadowolenie, poprzez wesele i nastrój pogodny do szczęścia, jako stanu najbardziej intensywnego.

Alc szczęście to jest szczęściem w sensie psychologicznym. Czy cierpienie zawsze je niweczy? Nie!

KONKURS POCIESZENIA

„Cierpienie” — pisze Tatarkiewicz — „niekoniecznie stoją szczęściu na przeszkodzie”. Gdy cierpienie przechodzi w radość to zespała się z nią i staje się składnikiem całości dodatniej. Tak jest z oczekiwaniem rzeczy upragnionej, z przeszkodami, jakie jej stoją na drodze i z wysiłkiem, aby ją osiągnąć. Oczekiwanie przeszkody i wysiłek same przez się są dokuczliwe, ale idą w niepamięć, gdy się oczekiwanie spełni, a nawet czynią to spełnienie przyjemniejszym. Jak powiada piosenka „tak jest właśnie najpromieniej, gdy wiele rozstań jest i łez”.

GORSZA SPRAWA

Inaczej jest gdy cierpienie trwa i zapowiada się jako trwałe. Gdy przed człowiekiem staje niekończąca się perspektywa cierpienia. Cierpienie dłużej trwające różni się nie tylko ilościowo, ale i jakościowo od krótkiego: przekraczając siły człowieka staje się dlań nieznosne i burzy jego szczęście, podczas gdy cierpienie przemijające może na jego szczęściu wcale się nie odbić.

RECEPTA NA SZCZĘŚCIE

W związku z tym wysuwano i taką receptę na szczęście: szybko żyć, żyć w ciągłym rozwoju, starać się o szybką przemianę psychiczną, jeśli tak rzec można przez analogię z przemianą materii. A to dlatego, by cierpienie, jeśli przyjdzie, nie zdążyło się ustabilizować w świadomości by nie wytworzyło złogów, które ją zatrują. Recepta ta jednak nie każdemu jest potrzebna, a dla niektórych natur ciągła zmiana byłaby ciągłym cierpieniem.

PODZIELONE PRZEZ CZTERY

„Cztery typy człowieka można wyodrębnić. Do jednego należą ci, którzy lwia część swych przyjemności czerpią z zewnętrznego, realnego świata, których przyjemności są przede wszystkim natury zmysłowej. To są ci, co lubią dobrze zjeść lub dobrze wypić. Z ich grona wyszli wielcy smakosze, przewodawcy kuchni, ale także prawodawcy i smakosze artystyczni. — Inny typ to ludzie, dla których największą przyjemnością są sprawne czynności. Z nich wyszli sportowcy wszystkich rodzajów, oni to ustanawiali rekordy, zdobyli najwyższe szczyty, opanowali powietrze. Typ trzeci, to ludzie o zdecydowanych dążeniach, o wielkich aspiracjach; ich przyjemności polegają na realizowaniu ambicji. To oni, ludzie ambitni dokonywali po wszystkie strony przewrotów politycznych czy finansowych. Oni to, krótko mówiąc, rządzą światem. W ich rękach (a potem ich spadkobierców) jest i była władza i bogactwo. Wreszcie typ czwarty: ci, co silnie reagują na war-

tości. Ich rola społeczna i dziejowa zapewne nie jest mniejsza od wszystkich innych, im najwięcej zawdzięcza nauka i sztuka, oni podtrzymywali religijne i moralne życie ludzkości.

Te cztery typy człowieka, to zarazem cztery typy życia i cztery typy szczęścia.

RAJSKIE MARZENIA

„W czterech kierunkach poszły również marzenia ludzkości o szczęściu, wyidealizowane obrazy przyjemnego życia, sny i legendy o rajach, Polach elizejskich, Walhallach, Szlaraffelandach, gdzie w doskonałym szczęściu ludzkość zaczynała bezgrzesznie swe dzieje, lub gdzie żyją po śmierci bohaterowie wspólnie z bogami. Legendy te i marzenia wypadają rozmaicie wedle tego, z jakich przyjemności ma być złożone to idealne szczęście.

Najwięcej rajów legendarnych opiera swą szczęśliwość na rozkoszach zmysłowych. Taki np. raj Mahometta: jego wyższe sfery posiadają budowle kryte złotem i drogimi kamieniami, każda z nich zawiera 700 łóż pozłocistych, a każde łoż otoczone jest przez 700 hurys. Nie inaczej też wyobraża sobie szczęście Eden niebieski Talmud, znajdujący się w 7-mej sferze nieba, którego wrota strzeżone są przez 700 tysięcy aniołów. Gdy wchodzi doń mąż sprawiedliwy, anioły kładą mu wieniec na czoło i gałąź mirtową do ręki i tańczą śpiewając: jedz chleb twój i raduj się. W Edenie tym płyną cztery rzeki: z mleka, miodu, wina i kadzidła. Podobnie u Indów przedstawia się kraj Uttarakuru: według Mahabharaty drzewa w tym kraju są zawsze i w kwiatach i w owocach, niektóre z nich dają mleko, a inne dają te owoce, jakich właśnie pragnie zrywający. Ramajana znowu opisuje jak w kraju błogosławionych wszędzie rozsiane są drogie kamienie, a zamiast piasku leżą perły.

Oparcie szczęścia na wrażeniach zmysłowych, a w szczególności na wrażeniach podniebienia występuje silniej jeszcze w krajach z bajek, w Schlaraffenlandzie, czy Pays de Cocagne. W kraju takim — którego mapy nawet rysowano we Włoszech — kielbaski rosły na drzewach, a jeziora z wina były tak głębokie, że mogły nosić statki. Przelądaliśmy się w nich góry z pokładami dukatów, które zbierał mógł każdy kto chciał. Sady rodziły w nim owoce wszelkiego rodzaju, świeże i mrożone, kapłony biegali w nim oskubane i przygotowane do upieczenia. z rzek ryby smażone skakały wprost do rąk, rzeki płynęły muszkatem i winem cypryjskim, a brzegi ich zarosnięte były tortami. Kto siadł w nim do stołu przed tym stawała upieczona zwierzyna, kapłony, bażanty, zające, kurczęta. Mieszkańcy jego żyli w idealnej bez trosce i bezczynności. Stały co prawda i w tym kraju więzienia, ale przeznaczone tylko dla tych, którzy ośmielają się pracować. Kraj ten, do którego po-

dobny jest też ów kraj Bengodi, opisany u Boccaccia — był jak się zdaje transpozycją uroczystości publicznych urządzanych w 16 i 17 wieku w Neapolu z kraterem parodiującym Wezuwiusza, z którego wybuchały parówki, mięsa, makarony, chwytane przez każdego, kto chciał i kto się dotoczył.

Inne, mniej łakome szczęście przeznaczali swym przodkom i bohaterom zarówno starożytni Grecy jak ludy północy. To szczęście oparte było na CZYNNOCIACH SPRAWNYCH I MIŁYCH I NA REALIZOWANIU DAŻEŃ JAKIE MIELI ZA ŻYCIA, walkami, wyścigami, nie gardząc również festynami i przyjemnościami materialnej natury.

SZCZĘŚCIE PO NIEMIECKU

W Walhalli opisanej znów w Ed-dzie i Pieśni Niebelungów jest wprawdzie pałac wspaniały, wzniesiony z drogiej kamieni, o odrzwicach tak szerokich, że poległych w bitwie mogą przyjmować po 800 w szeregu, odbywają się tam ucztę, w których przewodniczy sam Odyn, a Walkirie rozlewają miód do pucharów — ale mieszkańcy jej nie oddają się rozkoszom, jak mieszkańcy rajy Mahometta i wojownicze Walkirie niepodobne są do Hurys. Bohaterowie wiada tu dalej swe życie wojownicze i czynne i BY NIE OSŁABŁY ICH RAMIONA. BY NIE UTRACILI SPRAWNOŚCI WE WŁADANIU BRONIĄ STACZAJĄ MIĘDZY SOBĄ WALKI. RANIĄ SIĘ I ZABIJAJĄ, ale w następne południe rany zamykają się, a umarli wstają i zasiadają do stołu dokoła Odyna. Typowy raj dla morderców!

WYŻSZE WTAJEMNICZENIE

„Są jednak jeszcze inne koncepcje rajy oparte na przyjemnościach duchowych. Takie są raje Buddystów. Taka zaś, przede wszystkim, jest chrześcijańska koncepcja nieba. Jeśli w Ewangeliu natura nieba i rajy nie jest określona, to wyjaśnienia Ojcow Kościoła są wyraźnie spirytualistyczne. Daleko jesteśmy od Edenu, ogrodu rozkoszy, wymarzonego przez Izraelitów. Szczęśliwi w niebie postępować będą od cnoty do cnoty, od poznania do poznania. Szczęście ich polega na podniesieniu się i zbliżeniu do Boga. Zaspokojone będzie pragnienie doskonałości i nieskończoności.”

SZCZĘŚCIE ZORGANIZOWANE

„Gdy w fantazjach o nieistniejących krajach i rajach ludzie marzyli o lepszym życiu to rozumeli je po prostu i wyłącznie, jako życie szczęśliwe. Natomiast gdy formowali programy, jak to lepsze szczęście zorganizować, to szczęście przestawało być głównym celem. Tak było nawet w programach najbardziej utopijnych. Wielkie utopie, począwszy od Platona, miały na celu nie tylko szczęście ludzi, ale więcej jeszcze, ich udoskonalenie, wprowadzenie spr-

wiedliwości i rozumnego ładu do ich życia. Chcieli życie to uczynić wspólnym czy racjonalnym, a nie tylko szczęśliwym.”

PLATOŃSKA UTOPIA TOTALISTYCZNA

„Tak było zwłaszcza w pierwszej chronologicznie utopii: w „Rzeczypospolitej” Platona. Była zbudowana wedle idei dobra, a nie idei szczęścia. Miał w niej panować ład powszechny i niezmienny. Obywatelom jej nie było wolno kierować się w życiu własnym usposobieniem i chęciami, choćby to było potrzebne do ich przyjemności i szczęścia. Miała mieć ustrój najlepszy, a ustrój najlepszy jest tylko jeden, więc jeden ustrój obowiązywał wszystkich, nawet tych, którzy mieli inne skłonności i w innym ustroju czuliby się lepiej. Toteż nie mogło być wolności w idealnej Rzeczypospolitej, choćby komuś wolność była potrzebna do szczęścia. Ani też równości, bo najlepszy ustrój, wedle Platona, wymagał hierarchii. Rzady mieli w niej sprawować filozofowie, nie po to, aby życie uczynić w niej przyjemniejszym, lecz aby je uczynić — rozumnym. Nie zapewniała ona swym obywatelom rozkoszy ani korzyści ani dóbr materialnych. Przeciwnie domagała się od nich ascezy, wyrzeczenia się osobistych korzyści i dóbr materialnych. Nie znaczyło to by ludzie musieli w niej być nieszczęśliwi: człowiek może być szczęśliwy także bez przyjemności korzyści i dóbr materialnych. Ale jeśli by bez nich był nieszczęśliwy w platońskiej Rzeczypospolitej — to tym gorzej dla niego! Dla szczęścia jednostki nie wolno robić wyłomu w potrzebnym ładzie jaki ma panować.”

SW. TOMASZA MORE: ZNAJ MORES!

„Podobnie było w innej wielkiej utopii, o kilkanaście wieków późniejszej, wymyślonej w początku 16 wieku, tej która wszystkim utopiom dała nazwę — w Utopii Tomasza Morusa.

Ustrój jego państwa ma głównie na celu to, ażeby obywatele cały swój czas pozostali im od pracy dla potrzeb ogółu, mogli poświęcić wyzwoleniu się z niewoli ciała i wykształceniu swobodnego ducha. Różnorodne urządzenia, jakie wprowadził Morus do swego idealnego państwa służyły innym celom, niż uszczęśliwienie, a zwłaszcza uprzyjemnienie życia. Owszem temu chrześcijańskiemu utopieście chodziło o osiągnięcie szczęścia, ale — w życiu przyszłym. I właśnie dlatego życie na ziemi chciał uczynić doskonałym, nie zaś szczęśliwym.

Wprawdzie w zasadzie zalecał utopijczykom doktrynę epikurejską — celem życia jest szczęście, a szczęście składa się z przyjemności. Ale bynajmniej nie zostawiał im swobody w doborze sobie przyjemności, na jakie mają ochotę. Morus zarzucał ludziom, że zachowują się jak kobiety brzemienne: mają dziwaczne przyjemności i upodobania. Te dziwne upodobania chciał właśnie wykorzystać, przyjemności ludzkie ujednostajnić i ograniczyć do tych niewielu, które uważał za naturalne i ra-

jonalne. Takie rzeczy, jak np. sztuczne upiększanie ciała były w utopii wręcz zakazane, jako zdrożne. Ci co chcieli swobody byli za to karani surowo. Wystarczyło, by ktoś wydał się poza swój okrąg, aby był traktowany jako zbieg i ściągany na siebie karę.

Morus w swej utopii chciał stworzyć, jak Platon w Rzeczypospolitej, najlepsze państwo, a ustaliwszy ogólne jego zasady sądził, iż byłoby zbrodnią dla szczęścia osobistego zmieniać cokolwiek bądź w tym najlepszym państwie. Duszą tego państwa była jak pisze Świętochowski — idea sprawiedliwego rozdziału praw obywateli i dóbr. A więc idea moralna, nie eudajmoniczna. Chodziło o ulepszenie obywateli, o ich wartość moralną, a właściwie o coś jeszcze innego, bo trudno mówić o wartości moralnej, gdy ulepszenie wprowadzane jest pod przymusem. A utopia nakazywała żyć w ładzie i rygorze, mniejsza o to czy ludzie chcą, czy nie chcą. Pragnęła doprowadzić ludzkość do optymalnego stanu, zaopatrzyć ją w najwyższe wartości, które widziała w ładzie, rygorze, opanowaniu, regularności życia. Szczęście mogło być co najwyżej ich skutkiem.”

MINISTER MIŁOŚCI — NACZELNIK WYDZIAŁU SPRAW PŁCIOWYCH

„Nie inaczej było w jeszcze innej utopii, w państwie słońca, zaprojektowanym o sto lat później w początku 17 wieku przez Campanellę. Reglamentacja życia, podporządkowanie go przepisom prawno moralnym były tu nawet posunięte jeszcze dalej. Tu każda cnota, męstwo, czystość, trzeźwość czy wesołość — miała swój urząd. Urzędował też minister miłości, a także podległy mu naczelnik wydziału spraw płciowych. Trzy życia były do najdrobniejszych szczegółów regulowane przepisami. Posiłki były wspólne i wspólna dla każdego okręgu kuchnia. Spis potraw układali lekarze. Kobiety siedziały przy stole po jednej stronie, mężczyźni po drugiej. Podczas jedzenia rozmowy były wzbronione natomiast czytano głośno. Poza tym panować miała cisza klasztorna. Stanądyzowana miała być również odzież. A tak samo gry: zakazane były dla względów higieny wszelkie gry siedzące, jak szachy i kości. Malowanie twarzy było nie tylko zabronione, ale nawet karane śmiercią tak samo jak podwyższanie wzrostu sandałami o wysokich podszewkach i obcasach, lub noszenie długich sukien dla zakrycia nóg. Te i tym podobne pomysły Campanelli mogą być pojęte tylko, jako zmierzające do zaprowadzenia ładu i racjonalności życia, ale nie do realizowania szczęścia wśród ludzi.

Dopiero w 19 wieku pojawiły się utopie natchnione wyraźnie i wyłączenie idea uszczęśliwienia ludzi. Na wpół utopią eudajmonistyczną były projekty Saint-Simona. A w drugiej połowie stulecia, znaną była amerykańska utopia Bellamy'ego. Opisująca w powieściowej formie szczęśliwą egzystencję przyszłych ludzi w roku 2000.

Utopie bywały dwóch typów: jedne uzależniały wymarzoną doskonałość życia ludzkiego od przemienienia samych ludzi, drugie zaś od przemienienia warunków ich życia, ulepszenia narzędzi ich pracy, zwiększenie dóbr, z których korzystają. Jedne mówiły: będzie dobrze jeśli zorganizujecie się odpowiednio i odpowiednio będziecie pracować. Drugie zaś mówiły: będzie dobrze jeśli nie będziecie potrzebowali pracować. hr będą za was pracować maszyną. Czyli: jedne utopie oparte były na organizacji, drugie zaś na wynalazkach, jedne miały charakter społecz-

Dnia 27 maja b. r. o godz. 10 odbędzie się w kaplicy „Przytuliska”, przy ul. Wilczej 9, Msza św. za duszę

Ś. T. P.

Żołnierzy A. K. Oddziałów „Uderzenia”

„Konfederacji Narodu”

poległych w latach 1939–1944 w konspiracji i walce partyzanckiej

O czym zawiadamiają

KOLEDZY

W kraju...

DAR KS. PRYMASA.

NIEDAWNO prasa doniosła o prze-kazanlu przez J. Eminencję Ks. Prymasa Kardynała Hlonda miliona złotych na odbudowę Katedry Wrocławskiej.

Oflara ta jest wyraźnym dowodem jak wielką wagę przywiązują nasze władze kościelne do rozwoju polskiego życia religijnego na Ziemiach Odzyskanych. W chwili obecnej, gdy z różnych stron padają głosy kwestionujące nasze moralne prawo do polskich ziem nadodrzańskich oflary J. Em. Kardynała Hlonda nabiera zupełnie wyjątkowego znaczenia. Prócz przejawu szczególnej troski duszpasterskiej mamy tu do czynienia z ważnym aktem politycznym wymownie ilustrującym stosunek naszych najwyższych czynników kościelnych do zagadnienia polskości Ziemi Zachodnich. Wierzymy, że oflary Ks. Prymasa zwłaszcza zaś jej doniosły aspekt polityczny zostaną właściwie zrozumiane i przez polskie społeczeństwo Dolnego Śląska, oraz ogół wiernych. Świat zaś, raz jeszcze się przekona, że jeżeli chodzi o Ziemię Odzyskaną w Polsce nie ma różnic poglądów.

SIEDMIOKLASOWA SZKOŁA PODSTAWOWA.

PRZEWIDYWANE od przyszłego roku szkolnego przejście na system siedmioklasowej zamiast dotychczasowej ośmioklasowej szkoły podstawowej jest przedmiotem licznych dyskusji toczących się w łamach prasy i wśród nauczycielstwa. Decydujące czynniki oświatowe motywują konieczność zmiany obecnego stanu rzeczy chęcią zapobieżenia pogłębianiu się przepaści między wsią a miastem. Na wsi procent dzieci opuszczających szkołę przed jej ukończeniem rośnie gwałtownie porównując od klasy piątej. W roku bieżącym do klasy siódmej uczęszcza tylko 160 tys. dzieci, podczas gdy odpowiadający tej klasie rocznik obejmuje około pół miliona dzieci. Skrócenie czasu trwania nauki w szkole podstawowej umożliwi władzom szkolnym odpowiednio rozdystrybucowanie materiału nauczycielskiego, którego skąpa ilość nie pozwala na realizację ambitnego planu upowszechnienia nauki.

W praktyce przewidziana inowacja oznacza skrócenie czasu trwania szkoły ogólnokształcącej z 12 lat do lat 11, jeżeli przyjmiemy, że średnia szkoła zawodowa i wyższe klasy szkoły ogólnokształcącej stopnia licealnego potrwają cztery lata. Względy ekonomiczne zarówno jeżeli chodzi o ilość budynków szkolnych jak i niłą liczbę nauczycieli czynią plan obecny bardziej realnym od poprzedniego, nie zapominajmy bowiem, że u nas problem demokratyzacji szkolnictwa jest jednoznaczny z jego upowszechnieniem. Ośmioklasowa szkoła podstawowa na wsi w obecnym stadium zafacowania gospodarczego była od początku fikcją.

Nie może nas jednak nie niepokoić skrócenie czasu trwania nauki w szkole ogólnokształcącej o jeden rok. To zawsze będzie oznaczało ograniczenie możliwości zdobycia pewnego niezbędnego zasobu wiedzy. Dlatego ucieszyliby nas oświadczenie miarodajnych czynników oświatowych, że projektowana reforma jest tylko tymczasowa. Będąc zdecydowanymi przeciwnikami elitaryzmu uważamy, że czas trwania szkoły średniej (4 lata) jest stanowczo za krótki. Należy pamiętać, że w tym okresie zdobywa się właśnie wykształcenie ogólne w zakresie nauk humanistycznych, języków obcych i matematyki. Opanowanie tego rozległego materiału nie może się dokonać w przeciągu tak krótkiego czasu. Względy pedagogiczne przemawiają ze swej strony przeciwko przechodzeniu dziecka w okresie dojrzewania w ręce coraz to innego wychowawcy.

ny, a drugie techniczny. Pierwsze stawiały sobie cel natury raczej moralnej, drugie — eudajmonicznej.

MIT TECHNOKRATYCZNY

Henryk de Saint-Simon połączył w swym utopijnym socjalizmie oba typy utopii: kładł w nim nacisk na ulepszenie społeczne, tak samo jak na techniczne. A w tym połączeniu zamierzenia eudajmoniczne uzyskały przewagę.

Chciał jednego tylko: by ludzie uczynić szczęśliwymi. I sądził, że do tego niezbędna jest interwencja państwa. Przeciwwstawiał się ideologii francuskiej rewolucji, która chciała dać każdemu to i tylko to, co mu się z prawa należy. Sądził, że to za mało, że zasadę prawa należy zastąpić przez zasadę szczęścia. I myślał, że do powszechnego szczęścia prowadzi po prostu praca, byle była zorganizowana. Projektował organizację, na której cele stałoby inżynierowie i uczeni, a którą nazywał parlamentem doskonalenia. Instytutem Europejskim czy Radą Newtona. „Zasada tyle razy powtarzana — pisał — że szczęśliwym można być tylko wtedy, gdy własnego szczęścia szuka się w szczęściu innych, jest równie pewna i pozytywna, jak ta, że ciało zatrzymuje się lub opóźnia w swym biegu, jeśli napotka inne ciała, pchnięte w kierunku przeciwnym.

Spółczesność dążąca w nieskoordynowany sposób do szczęścia jest, wedle porównania Saint-Simona, jak karawana zdająca się na przewodnika. Społeczeństwo zaś zorganizowane jest karawaną, każącą prowadzić się wprost do Mekki, znającą swój cel i mocą zawsze sprawującą czy ją dobrze prowadzi.

Jako wyniku zrealizowania tych idei oczekiwał Saint-Simon — raj na ziemi. Francję widział przemienioną w park angielski. „Zbytek“ — pisał — „stanie się pożyteczny i moralny, gdy cały naród będzie zeń korzystał“.

PERSPEKTYWY

SOCJALISTYCZNE

Podobne stanowisko zajęły utopie 19 wieku, między którymi najbardziej popularna była Bellamy'ego. Utopie te były inspirowane zarówno przez zdobycze techniczne 19 wieku, jak przez jego ruchy społeczne. Przede wszystkim zaś, przez ruch socjalistyczny. W szczególności utopia Bellamy'ego uchodziła za utopię socjalistyczną. Był to czas, gdy socjalizm wyszedł już z okresu utopijnego, jaki przeżywał za Saint-Simona. Stał się socjalizmem „naukowym“ i realnym ruchem społecznym. Ale oddziałyując wszechstronnie, oddziaływał nawet na utopię. Pod jego wpływem zmieniły one częściowo charakter.

Utopia Bellamy'ego liczyła się już ze szczęściem ludzi. A oczekiwała go od tego od czego utopie dawniejsze oczekiwały udoskonalenia społeczeństwa ludzkości — od jednolitej organizacji społeczeństwa. Nowością zaś w niej było, że wysuwała na pierwszy plan sprawy gospodarcze: powszechne szczęście opierała na powszechnym dobrobycie. Była ujęta w literacką formę snu o przyszłości, ale z przeświadczeniem, że sen ten może być i będzie realizowany przez odpowiednie zorganizowanie społeczeństwa, które uczyni wytwórczość jego wydajniejszą, zapobiegnie marnotrawieniu dóbr i zapewni wszystkim dobrobyt. Gdy mianowicie naród stanie się jedynym kapitałistą i pracodawcą, nie będzie ubóstwa i niedoli. Wszyscy będą obfitować we wszystko, a wtedy zniknie ze świata zło, bo zło ma wyłącznie źródło w pragnieniu zysku lub obawie niedostatku.

Shczęście ludzi z roku 2000, żyjących w idealnym, socjalistycznym ustroju uwarunkowane będzie naj-

pierw ich zamożnością, której nie może nie być w ustroju nie marnującym pieniędzy na wojsko i nadmiar urzędników, na hurtowników i pośredników, nie znających konkurencji przedsiębiorstw, nieudanych periodycznych zastojów w handlu i przemysłu, niedostosowania podaży do popytu, ani martwych kapitałów.

Po drugie, ludzie ci będą szczęśliwi, gdyż będą wolni od troski o przyszłość dla siebie i bliskich. Każdy bowiem mieć będzie do końca życia zapewnione wszystko, co jest do wygodnej egzystencji potrzebne.

Po trzecie dla tego, że nie będą przymuszani do pracy, która im nie odpowiada. Maszyny i postępy techniki ułatwią pracę, a jeśli jeszcze będzie praca ciężka, to za to będzie krótka, a jeśli niebezpieczna, to będzie wynagradzana przez szczególnie zaszczyty, tak iż ochotników do niej nie zabraknie.

Po czwarte będą mieć więcej wczasów, a od 45 roku życia będą zupełnie wolni od obowiązującej pracy i druga połowa ich życia będzie właśnie okresem największych przyjemności, swobodnego i nie zamąconego niczym napawania się do-brodziejstwami świata.

„Dla was“ — powiada człowiek z roku 2000 do człowieka z 1887 — „przedpołudnie było jaśniejszą stroną życia, dla nas zaś popołudnie“.

Po piąte ludzie będą szczęśliwi, bo będą lepsi, a będą lepsi, bo nie będzie już diabelskiej zasady: twoja strata jest moim zyskiem. Nie będą mieć powodu, by kłamać czy rabować, gdy mieć będą wszystko czego potrzeba. Gdy nie będą potrzebować oszukiwać, zdradzać, przemycać, udawać — staną się pogodniejsi i szczęśliwsi. A także choć będą żyć w jednolitej organizacji będą mieć więcej wolności.

Zapewne, indywidualizm nie będzie tolerowany, bo uniemożliwiłby sprężystą organizację i braterskie współzycie, zapewne nie będzie wolności wyboru pomiędzy pracą, kradzieżą a śmiercią głodową. Ale każdy będzie swobodnie wybierał sobie pracę, będzie wydawał cały swój dochód, jak mu się podoba, a i życie uczuciowe będzie swobodniejsze, gdy sprawy pieniężne, czy ambicje rodowe przestaną być motywem zawierania związków. W tych warunkach — w życiu zasobnym i zabezpieczonym, z pracą łatwą i licznymi wczasami, z możliwością niezasklepienia się w sprawach materialnych — ludzie nie będą mogli nie być szczęśliwi. Przestanie ich będzie entuzjastyczne odczucie łatwości istnienia ziemskiego i nieskrępowanej możliwości rozwoju natury ludzkiej. Odczują, że ludzkość przerwała oponę poczwar, niebo jest przed nią.

PROFESOR OCENIA UTOPIĘ

Oczywiście i to jeszcze jest utopią choć liczy się z rzeczywistymi potrzebami ludzi. I choć opiera się na rozważaniach społecznych i technicznych, nie można twierdzić, że będzie zaraz zrealizowana przez ludzkość, że w bliskiej przyszłości niebo jest przed nią. Rzecz w tym: człowiek wyobraża sobie przyszły doskonały ustrój wedle warunków życia jakie zna, w jakich sam żyje — podobnie jak rozkosze niebiańskie wyobraża sobie na podobieństwo doczesnych. Nie myśli o tym, że przyszli ludzie żyć będą w innych warunkach i czego innego potrzebować będą do szczęścia. Wyobraża sobie, że ludzie będą szczęśliwi byle by tylko posiadli to, czego jemu brak. Nie myśli, że WTEDY DADZĄ ZNAĆ O SOBIE INNE POTRZEBY. Tak jest też z utopią Bellamy'ego, wyobrażającego sobie, że szczęście wypłyne automatycznie z dobrobytu, a dobrobyt z dobrej organizacji.

A jest jeszcze i drugi wzgląd. Oto potrzeby psychiki ludzkiej nie tylko zmieniają się wraz z warunkami życia, ale sa też indywidualnie różno-

rodne. Tymczasem wszelkie utopie z natury rzeczy zmierzają do swego celu przez ujednostajnienie życia. Układ, który uważają za najlepszy chcą wprowadzić jako powszechnie obowiązujący. To nerw ich wszystkich, nie wyłączając eudajmonistycznych utopii w rodzaju Bellamy'ego. Tymczasem życie wszystkich na jedną modłę nie będzie szczęściem wszystkich.

ZNIECIERPLIWIE NIE HUXLEY'A

„Nie mam cierpliwości z tymi niemądrymi prorokami i fabrykantami utopii“ — powiada jeden z bohaterów Huxley'a — „którzy częstują nas perspektywami nieprzerwanego szczęścia. Czyż nie widzą, że gdyby szczęście było nieprzerwane i dobrobyt gdyby był powszechny, to rzeczy to przestałyby być szczęściem i dobrobytem, a stałyby się nudą, chlebem powszednim, codziennością. Czyż nie mogą pojąć, że gdyby wszystko na świecie miało kolor zielony, to nie wiedzielibyśmy co to jest kolor zielony. Czyż są, aż tak niemądrzy, że nie widzą, iż na to by znać szczęście i cnotę trzeba też znać cierpienie i grzech. Utopia jaką ja bym proponował byłaby światem, gdzie zarówno szczęście, jak nieszczęście byłyby bardziej intensywne, gdzie następowałyby po sobie szybciej i gwałtowniej niż w naszym świecie.“

OSTRZEGAWCY

Na tym tle dopatrzono się wręcz kolizji między utopiami a szczęściem. — Bierdajew napisał o utopii, że okazują się daleko bardziej podatne do realizacji niż wydawało się dawniej. I dziś stoimy wobec pytania nieporównanie bardziej niepokojącego — jak uniknąć ich definitywnej realizacji.

Słowa te mogą wydać się dziwne bo przecież utopie obrazują upragniony stan ludzki, dlatego więc uniknąć ich realizacji? A jednak czytelnik utopii Platona, Morusa czy Campanelli może odczuć trafność tych słów. „Życie“ — pisał dalej Bierdajew — „posuwa się w kierunku utopii i bodaj zaczyna się nowy wiek, kiedy intelektualści i cała klasa ludzi kulturalnych będzie marzyć o znalezieniu środków do uniknięcia utopii i powrotu do społeczeństwa nieutopijnego, mniej doskonałego, a bardziej wolnego“. Bo aby wszystkich ludzi uczynić doskonałymi, trzeba wielu z nich odebrać wolność, zastosować wobec nich przymus, a nie zdaje się, aby ludzie mogli być szczęśliwi pod przymusem.

NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT.

Ten defekt utopii próbował uwydatnić Huxley w „Nowym Wspaniałym świecie“, najnowszej utopii, będącej zarazem krytyką utopii. Opisanie w niej Stany Zjednoczone świata, powstałe w erze Pana naszego Forda, pod hasłem komunikacji, standaryzacji, stabilizacji usiłują dać ludziom warunki materialne równie dobre, jak u Bellamy'ego, ale i dobre warunki psychiczne. Dlatego nikt nie ma indywidualnych warunków życia, bo warunki takie mogłyby zmącić doskonałą jednolitą organizację. Ludzie rodzą się w ośrodkach wylęgu czysto mechanicznie i w ilościach jakie są społeczeństwu potrzebne. Identyczne w butelkach wyhodowane embriony są też wychowane identycznie, z wychowania ich usunięte jest wszystko co by je mogło różnicować, nie mają i nie znają historii. Hipnopedia czyli nauczanie przez sen, powtarzanie przez megafony podczas snu dzieci tych samych wciąż twierdzeń wbija w nie te same przekonania, wyrabia tę samą psychikę. Do rzeczy koniecznych nie wyłączając śmierci, przyzwyczajają się tak, że myśl przestaje sprawiać przykrość. I żyją potem identycznie: pół dnia w pracy i pół dnia w rozrywce.

Uczucia przykre są wyeliminowane z życia, bo ludzie w ogóle odwykli od uczuć. Przedsiębrane są środki zaradcze, aby nikt nie kochał zbyt mocno. Rolę fizjologiczną uczuć spełniają niektóre, stale stosowane zastrzyki zwłaszcza SGN czyli Surrogat Gwałtownej Namietności. Przeplukiwanie systemu krwionośnego adrenaliną stanowi zupełny fizjologiczny ekwiwalent strachu i gniewu. Usunięte są też ze świadomości obywateli wszelkie wierzenia i przekonania, które by mogły być przykre, co zresztą nie było trudne, bo wiara zależy od odpowiedniego usposobienia, a w nowym wspaniałym świecie wszyscy zostali przysposobieni do wiary przyjemnej. I w świecie tym człowiek nie ma okazji do doznawania czegokolwiek, co by było naprawdę przykre. Hipnopedia wzmówiła w każdego :dzis kto jest żywy jest szczęśliwy. Gdyby zaś przyszedł moment depresji, to na to są pastylki, które od razu wytworzą euforię. Łykasz dwie, trzy półgramowe pastylki i już wszystko jest dobrze“.

Ta utopia nastawiona jest nie na doskonałość lecz na szczęście ludzi. Wprowadza ład nie dla samego ładu, lecz dlatego, by przy jego pomocy stworzyć warunki szczęścia. W nowym wspaniałym świecie wszyscy mają być zadowoleni. Ale czy będą nimi rzeczywiście? Co najwyżej — tak zdaje się twierdzić autor utopii — jeśli będą żyć w całkowitej izolacji od innych światów, ustrojów wyobrażeń. Ktokolwiek jednak zajrzy do starego, zwykłego, niedoskonałego świata i porówna z nim nowy wspaniały świat ten w tym wspaniałym świecie nie będzie już mógł wytrzymać.

KONKLUZJA AUTORSKA.

Z rozważania utopii jakie wymarzyła ludzkość zdają się tedy wypływać trzy wnioski:

A) Większość utopii zwłaszcza dawniejszych chciała doprowadzić ludzi nie tylko do szczęścia, ale także i do doskonałości i jeszcze do innych celów, wobec których szczęście usuwała na dalszy plan. Było to jedną z przyczyn, dla których ludzie nie spieszyli się z realizowaniem utopii i przedko uciekali od nich, gdy zostały zrealizowane.

B) Utopie jako programy najlepszego ustroju świata, do którego ludzkość ma być podciągnięta — choćby nawet na pierwszym miejscu stawały szczęście — są poniekąd w kolizji ze szczęściem. Podciągając bowiem ludzi do jedynego, najlepszego typu życia, odbierają im ważny czynnik szczęścia swobody i różnorodność życia. A poza tym jeszcze, utopiom trudno jest zapewnić szczęście ludziom, bo chodzi w nich o szczęście w przyszłości, a przyszłości się nie zna. Utopie chcą usunąć te dolegliwości, które obecnie dokuczają ludziom, ale natura ludzka jest taka, że gdy jedne dolegliwości zostaną usunięte, to łatwo mogą wystąpić nowe. Dla zwiększenia szczęścia trzeba by zreformować nie tylko zewnętrzne warunki życia, ale także i psychikę ludzką, a tymczasem są poszlaki że REFORMA PSYCHIKI JEST NAJTRUDNIEJSZĄ Z REFORM.

C) W dziejach utopii wiek 19 stanowi przełom, bo wreszcie szczęście ludzi, a przez to bardziej realne stały się przez to bardziej ludzkie bardziej odpowiadające potrzebom ludzi, a przez to bardziej realnie i mniej oderwane.

Artur Zatopiński

(Dokończenie nastąpi.)

Czytanie

„SŁOWO Powszechne“

Zygmunt Lichniak

SPÓR O METODĘ

1.

Spór o metodę badań zjawisk literackich rozgorzał na nowo. Przypomina on swoją intensywnością lat walki ząbkującego ongiś w Polsce formalizmu z sędziwym psychologizmem i biografizmem. Tym razem atakuje młodzieńczy socjologizm. Niewątpliwą jego zasługą jest podkreślenie konieczności przewietrzenia literatury, zrewidowania ustalających się zbyt pośpiesznie i zbyt jednostronnie stanowisk metodologicznych.

Wyraźnym prowokacją socjologizujących buńczucznie teoretyków i krytyków literatury oraz straceniemu uporowi formalistów, zawdzięczamy cenny artykuł Borejszy („Ideologia na śmietniku?”, „Odrodzenie”, Nr 17, 25 kwietnia 1948), a temu znowu artykułowi wystąpienie Horodyńskiego („Nierozważna polemika”, „Dzis i Jutro”, Nr 19, 9 maja 1948).

Obydwie wypowiedzi wskazują wyraźnie, że przedmiot dojrzał do dyskusji, chociaż jednocześnie oskarżają dyskusję o to, że jest daleka od wyczerpania przedmiotu, i w jednej i w drugiej wypowiedzi, zwłaszcza zaś w pierwszej, zamknął się nieśczęśliwy krąg nieporozumień, których rozmiary niepokoją i zmuszają do wyjaśnień.

We wnikliwym artykule Jerzego Borejszy, łatwo wyodrębnić dwie części. Pierwsza poświęcona jest sformułowaniu konkretnych negacji, ostrej krytyce formalizmu i wulgarnego socjologizmu; druga wysuwa pozytywną tezę, mającą stanowić wyjście z beznadziejnej sytuacji, spowodowanej błędami krytykowanymi w pierwszej części podstaw metodologicznych.

Horodyński „czuje się zwolniony od polemiki z negacjami Borejszy” i przechodzi do krytyki jego pozytywnych sformułowań. Wydaje mi się, że krytyka ta da tylko wtedy właściwe rezultaty, gdy rozpoczniemy dyskusję z negatywną stroną. Nie należy sobie ułatwiać zadania.

Dlatego pierwszej części artykułu redaktora „Odrodzenia” warto poświęcić więcej uwagi. Główną jej myśl da się streścić w ważkim stwierdzeniu, że i formalizm i wulgarny socjologizm są stanowiskami błędnymi, gdyż oddzielają zagadnienie treści od zagadnienia formy.

To nieporozumienie. Ani formalizm, ani socjologizm podziatu tego nie przeprowadzają. Formalizm wprowadza zagadnienie treści do zagadnienia formy, socjologizm zagadnienie formy wmontowuje w percepcję treści. To ogólne, z konieczności lapidarne, scharakteryzowanie dwóch postaw wymaga, oczywiście, komentarzy.

Można jednak mój zarzut, odeprzeć wyjaśnieniem, że przeciw Jerzemu Borejszy nie chodziło o teorię formalizmu czy socjologizmu, ale o konkretne wyniki praktycznego realizowania wskazań metodologicznych, o to, co z nieszczęsnym dziełem literackim poczynały formalisci i socjologowie. A chyba nikt nie będzie się upierał, że mają oni czyste sumienie. Oczywiście. Na to się trzeba zgodzić.

Ale w imię tej samej postawy zgodzić się trzeba także na to, że autor rozważań „Ideologia na śmietniku”, obciążając konto formalizmu i socjologizmu przewinieniami formalistów i socjologów literatury przyjął założenie, które można by sformułować w ten sposób: słuszność lub niesłuszność, przydatność lub nieprzydatność tej czy innej metody badań zjawisk literackich mierzy się valorami jej praktycznych osiągnięć, realnych zdobyczy, konkretnego wkładu w ogólny dorobek kulturalny. Krócej: na śmietnik z teorią,

która nie ma szans urzeczywistnienia się w praktyce badawczej, która jest praktycznie niewykonalna.

Taka postawa obowiązuje i w odniesieniu do własnych koncepcji, do własnej teorii.

Przyjrzyjmy się więc drugiej części „Ideologii na śmietniku”.

2.

Znajdujemy w niej takie zdanie: „Pisze się: „książka ideologicznie świetna, artystycznie zła” lub odwrotnie, tak jak gdyby to były rzeczy rozłączne”.

Wniosek: Redaktor „Odrodzenia” widzi możliwość, ba, konieczność nieoddzielania zjawisk treściowych od zjawisk formalnych, konieczność synchronizowania, całkowitego zespolenia tych dwóch elementów w ocenie dzieła literackiego. To postulat w praktyce nieziszczalny.

Dwa są tego powody. Jeden mieści się w spekulacji teoretycznej, drugi w praktycznych możliwościach pracy badawczej.

Zatrzymamy się na chwilę przy pierwszym.

Źródłem ideologicznym, z którego chciał redaktor „Odrodzenia” za-

czepnąć siły dla naprawienia błędów srogo skarconych we wstępnej części przeciwników, jest marksizm. Bo marksizm uważa, że „estetyka stanowi wyraz zależności pomiędzy treścią i formą” (Laurent Casanova). Artykuł jednak „Ideologia na śmietniku” utrzymuje, że „metoda ta odrzuca oddzielne traktowanie zagadnienia formy i zagadnienia treści, ideologii”.

Jeszcze jedno nieporozumienie. Mnie się zdaje, że to wcale nie to znaczy. Przeciwnie. To znaczy, że istnieje i treść i forma i jakiś między nimi stopień zależności, który stara się określić estetyka. Stwierdzenie kierunku i stopnia tej zależności jest zadaniem krytyka — badacza. Nie ustali tych spraw, jeśli nie oddzieli w praktycznej analizie tych dwóch pojęć. Zresztą — nie potrzebuje ich oddzielać. Tylko w abstrakcji mogą one tworzyć jedność, w próbowce rozpadają się niemal automatycznie, prawie samorzutnie. I o tym wie Casanova, chyba wie i autor „Ideologii na śmietniku”, bo już w następnym zdaniu potrafi nas autorytatywnie poinformować, jaki

jest kierunek owej zależności między treścią i formą. Oczywiście: „dzieło jest wypadkową pewnej ideologii...”

Spieszno mi do wskazania drugiego powodu, dla którego nie mogę przyjąć poglądu Borejszy.

Literatura jest zawsze zespołem znaków i znaczeń i ta dwudzielnosc jej „składu chemicznego” musi zawsze znajdować swój odpowiednik w dwojakim zespole procesów odbiorczych: wrażeń i skojarzeń. Nawet najbardziej skomplikowane kombinacje związków znaku ze znaczeniem nigdy nie zmieniają faktu jego złożoności, a tym samym nie ujednolicią całkowicie procesu odbiorczego.

3.

Tylko w teorii można się kusić o stworzenie fikcyjnej syntezy, w praktyce dwuczłonowość sądu krytycznego jest nie do uniknięcia. Można pozorować jej przewyżczenie sofistyką i mniej lub więcej inteligentnymi wykrętami, można zwręzną grą terminów zatuzować dwudzielny proces analizy, ale będą to tylko wykręty i maskowanie. Nie będziemy dyskusji

zaciemniać seriami przykładów. Zaproponujemy, aby według przyjętych przez siebie rygorów stworzyli jedną choćby, praktycznie w ramach artykułu czy recenzji zamkniętą ocenę zjawiska literackiego. Ten wysiłek winien ich skłonić do opuszczenia upadłej reducy.

4.

Czy usprawiedliwieni więc są formalisci i socjologowie, których Jerzy Borejsza wytargał za uszy? I tak i nie. Tak, bo oddzielanie zagadnień treści od zagadnień formy jest musem praktyki badawczej. Nie, bo oddzielając te zagadnienia od siebie należy zawsze zachować umiar w ustalaniu ich wzajemnej proporcji, w określaniu stopnia wzajemnej zależności. Formalisci — jak słusznie zauważył Borejsza — skrzywdzili treść, socjologowie — formę. I to jest ich błąd. Tak jak błędem psychologizmu i biografizmu było szukanie miary związków między treścią a formą poza dziełem literackim. To też był błąd tylko częściowy, bo w istocie nierazdło właśnie poza dziełem znaleźć można właściwy kulcz. Ale nigdy nie należy zadowalać się wytrychem dowolnych przypuszczeń, jednostronnych naświetleń czy naciąganych powiązań. A tą wytrychowatością i psychologizmem i biografizmem nagrzyszył niemało.

Zadna więc ze znanych dotychczas metod nie ma prawa rzucić na drugą kamieniem. Obserwując praktyczne wyniki każdej z nich, widzimy ich niewystarczalność, jednostronność, względność.

Ta obserwacja nasuwa jeden wniosek: żadna z tych metod nie wystarczy. I wniosek dalszy: w ogóle nie wystarczy jedna metoda.

Gdzież więc wyjście z zamkniętego kręgu?

Przez pełnię postawy światopoglądowej.

Zanim wytłumaczę, na czym polega wewnętrzny rygor organizacyjny tej postawy, zgadzamy się na jedno: każda z metod, pretendujących całym programowo do samowystarczalności, grzeszyła po cichutku nieświadomym eklektyzowaniem. Psychologizm nie wyznikał się komentarza kontekstu społecznego, jak i socjologizm nie rezygnował z opisu wewnętrznego twórcy, nazywając to wpływem środowiska lub uwarunkowaniem społeczno-ideologicznym. Przykładów sami zwolennicy poszczególnych stanowisk — podjudzeni na siebie — mogliby namożyć więcej. Nie o to jednak chodzi, lecz o stwierdzenie, że wielowiekowa praktyka badawcza wykazuje jasno niemożliwość integralnego poznania dzieła literackiego w ramach jednej metody. Poznanie takie będzie prawdopodobniejsze wtedy, gdy walory poznawcze różnych metod zostaną zespolone w jednej postawie badawczej. Ta postawa to postawa światopoglądowa operująca wszechstronnością metod. Różnić się ona musi od wszystkich dotychczas niewydarzonych prób eklektyzowania logiczną organizacją nadrzędności celów.

Na jakiej zasadzie dokonać tej organizacji? Co ma być przewodnim rygiem ustalającym proporcje i hierarchizującym wartości? Jedno: wyraźna świadomość najważniejszego celu pracy badawczej, wyraźna i konkretna linia dążeń, w najszerszym, nawet ontologicznym tego słowa znaczeniu.

5.

Literatura jest jednym z bezpośrednich przejawów życia, wyrasta z niego, jest z nim nierozdzielnie związana. W życiu zawsze dążymy do jakiegoś celu. W literaturze tak samo. W ocenie zjawisk życiowych decyduje linia naszych dążeń. W ocenie zjawisk literackich tak samo. Więcej: ta sama linia dążeń, ta sama

Andrzej Korecki

Wspomnienie o Mieczysławie Niklewiczu

Sucha wzmianka biograficzna, jedyna jaka ukazała się w prasie (Tyg. Warszawski Nr. 1232 d. 4/IV) po śmierci Mieczysława Niklewicza, zwróciła moją uwagę i dała do myślenia. Czyż nikt ze znakomitych towarzyszy pracy publicznej nie odezwie się, by uczcić wyznawcę tego pogromcę politycznego, który widząc w niemieckiej zaborczości najgroźniejszego wroga Polski, zwalczał ją i demaskował. Zaczęłam myśleć o zbliżającym się szeregu ludzi, od wielu lat głoszących walkę z naporem niemieckim za główny postulat naszej polityki zagranicznej. Nie znalazłam prawie żadnego nazwiska — wśród żywych. Człowieki działacze zostali systematycznie wymordowani po obozach, wśród męczarni.

Stronnicstwo przestało istnieć. Zdobynam się zatem ja, z głębokiej prowincji, na oddanie hołdu poświęconemu człowiekowi, który tego hołdu jest w wysokim stopniu godzien.

W zmiennych kolejach losów Polski w niewoli, żadna cecha nie budziła takiej ufności i takiego szacunku; żadna nie była taką gwarancją osiągnięć na terenie publicznym, jak silny, niezłomny charakter.

Otóż Mieczysław Niklewicz miał rzadko u nas spotykaną, żelazną konsekwencję zasad i wierność wobec nich.

Ur. w Piotrkowie 29 września 1880 r. uczęszcza tamże do gimnazjum, a potem na Uniwersytecie Warszawskim na wydział prawa. Już jako uczeń, bierze udział w kółkach samokształcenia, jako członek tajnej organizacji uczniowskiej. Na uniwersytecie od razu zaczyna pracę na terenie akademickim. Należy do organizacji Zet (związek młodzieży Polskiej).

Aresztowany w kwietniu 1903 r. został osadzony w słynnym X pawilonie, znanym jako więzienie polityczne w Cytadeli Warszawskiej.

Ma zamknięty wstęp na wszystkie uniwersytety w całym państwie rosyjskim.

Nie przestaje pracować konspiracyjnie, przewozi transporty pism nielegalnych, które jak „Przegląd Wschepolski” i „Polak” budziły ducha narodowego w szerokich masach. Przyjęty do zwierzchniej tajnej organizacji politycznej „Liga

Polska” bierze udział w jej pracach.

W tym czasie poznaje Romana Dmowskiego, którego do końca życia był najwierniejszym wyznawcą i przyjacielem. W 1906 r. kiedy Dmowski objął redakcję pisma „Gazeta Polska” w Warszawie, Niklewicz wszedł do składu redakcji, następnie obejmuje kierownictwo wydawnicze, zarówno tego pisma, jak i innych pism kierunku narodowego. Pomimo znacznych trudności, jakie piętrzył ówczesny rząd carski, Mieczysław Niklewicz wykazując niespożyty energią, potrafił utrzymać pismo bez przerwy, choć ciągle zmieniające tytuł. Najdłuższe wychodziła „Gazeta Warszawska”. Poważną rolę w życiu intelektualnym ówczesnego społeczeństwa odegrał wychodzący w Warszawie od r. 1903 „Przegląd Narodowy”.

W r. 1909, za artykuł o Szymonie Konarskim „Przegląd” zostaje zawieszony a jego redaktor Zygmunt Balicki i wydawca Mieczysław Niklewicz skazani są na rok twierdzy.

Nadchodzi wojna 1914—18. Wobec tego, że „Gazeta Warszawska” była czołowym organem Stronnicwa prowadzącego nieugiętą walkę przeciw Niemcom, zostaje postanowione zawieszenie pisma przed samym wejściem Niemców do Warszawy i wyjazd głównych współpracowników do Rosji, do ówczesnego Piotrogradu dla prowadzenia dalszej, aktywnej polityki alianckiej.

Niklewicz wyjeżdża również, zostaje skarbnikiem Centralnego Komitetu Obywatelskiego, instytucji tułaczkiej.

Staje się głównym organizatorem wydawnictw stronnicwa w Piotrogradzie. Powstaje pismo codzienne „Dziennik Polski”, tygodnik „Sprawa Polska”, gazetki popularne, wszystkie posiadają wyraźne oblicze polityczne i stanowią propagandę zdrowej polskiej racji stanu. Głosiły też niezawodną niepodległość Polski. W jednym z pism, z inicjatywy Mieczysława Niklewicza, widniało w wydaniu codziennym słynne Mickiewicowskie hasło:

„Miasto Gdańsk, niegdyś nasze — znowu będzie nasze!”

Poza pracą wydawniczą oddaje się pracy społecznej. Jest jednym z założycieli Tow. im. Jana Zamoyskiego, które prowadzi szkołę średnią

i powszechną. Przez szereg lat będąc członkiem Rady i jej prezesem; żywo interesuje się zagadnieniami wychowawczymi.

Po zamachu majowym (1926 r.) walczy z bezustannymi trudnościami stawianymi przez sanację.

Pisma ciągle prześladowane, narażone na nieobliczalne straty na skutek konfiskat, utrzymuje się z największym trudem. Sanacja nie ogranicza się do ruinowania prasy niezależnej, która ma odwagę wytykać ciężkie błędy. Tow. „Ruch” nie otrzymuje koncesji — wiadomo jakim kosztem dostanie ją — Mieczysław Niklewicz ustępuje z zarządu — Tow. otrzymuje koncesję. Tow. budowlane, w którym był członkiem zarządu, nie dostaje robót — przychodzi ta sama.

W czasie wojny ostatniej mocno już schorowany bierze żywy udział pod okupacją w tajnej pracy wydawniczej.

Wśród strasznych ciosów, walących w nas zewsząd, nie tracił ducha, każdemu otuchy dodawał, ani na chwilę nie zwątpił w klęskę Niemców i zwycięstwo Polski.

Straszliwe losy powstania warszawskiego, zaważyły na Jego życiu. Wywieziony przez Niemców, był już ciężko chory. Pozornie odzyskał zdrowie, gdy zdołał wrócić do Warszawy. Nad gruzami nie rozpacał, nie mówił o nich, patrzył tkliwie na każdy nowy ślad odbudowy. Odwiedził Go wówczas, wieczorem na IV p. w pokoiku, z którego był rozległy widok na spalony Czerniaków i dolinę Wisły.

Siedział przy oknie i wypatrywał coś — był zamyślony. „Zamarła dzielnica — powiadam Mu patrząc w dół — same zgłiszczą!”

— Nie — odpowiedział wolno, łagodnym głosem — właśnie liczyłem okna, w których się pali światło. Jest już ich kilkanaście...

Ostatni rok życia spędził w wsi, gdzie jak mówił, czuł się bliżej Boga. Sposobił się tu do zakończenia swego pracowitego życia, pełnego walki o ideały.

Dom Mieczysławostwa Niklewiczów był bez mała przez lat czterdzieści wzorowym ogniskiem rodzinnym pełnym żywej miłości.

Zmarł 5 stycznia 1948 r.

Andrzej Korecki.

postawa ontologiczna, która hierarchizuje zjawiska życiowe, warunkuje nasz stosunek do zjawiska literackiego. I to trzeba zrozumieć. Tę postawę ontologiczną, zespół własnych założeń światopoglądowych należy uznać za czynnik, który powinien stać się zasadą organizacji ekлекtyzmu badawczego. Bez wmontowania metodologii w ontologię, bez uzgodnienia naszej postawy badacza z naszą postawą człowieka nie ma gruntownego osądu zjawiska literackiego, nie ma w ogóle osądu.

To nie jest prawda nowa. Większość krytyków znajdzie jej potwierdzenie w swojej pracy. Ale jest to prawda niezauważona, przemilczana, a przez to nie wykorzystana.

Jakż jest bowiem jej sens praktyczny?

Przede wszystkim wzbogaca ona życie o wszystkie wartości literatury, po drugie: wyświetla wiele niewyraźnych sytuacji, zwalcza mętniactwo krytyczne, formułuje jasno osady i wskazuje przyczyny ich różnic. Dotychczas usiłowano tłumaczyć te różnice wadliwością aparatu poznawczego, przy czym każdy swój aparat skłonny był uważać za najlepszy. A większość różnic tego typu wynikała z różnic postaw światopoglądowych. Oficjalne uprawnienie wszechstronności metod zorganizowanych nadrzędnością założeń ontologicznych będzie jednocześnie równouprawnieniem wszystkich osądów uargumentowanych zgodnością z tym założeniem.

Dla marksistów tym głównym rygiem organizującym ekлекtyzm be-

dzie marksizm, dla katolików — katolicyzm. Katolicy będą musieli wtedy uznawać wewnętrzną logikę wartościowania marksistowskiego, marksści zaś zgodzić się będą musieli na wewnętrzną zgodność osądów krytyki katolickiej, opartej na katolickiej bazie światopoglądowej. Ta sytuacja pozwoli na wykazanie obydwu stronem wszystkich swoich możliwości, stworzy obiektywne warunki dla nagromadzenia konkretnych materiałów dowodowych wyższości jednej postawy nad drugą. Dotychczasowe bowiem starcia miały charakter rozmowy telefonicznej, która do niczego nie mogła doprowadzić, bo — nie było połączenia...

A do czego doprowadzi połączenie, polegające na zrozumieniu odmienności sądów krytycznych, wpływającej

z odmienności postaw światopoglądowych?

Według Jerzego Borejszy chyba do zwycięstwa marksizmu. Według mnie do utrwalenia niezłomności katolicyzmu.

Nie mogę się powstrzymać od postawienia autorowi „Ideologii na śmietniku”, świetnemu dialektykowi, choćby takiego pytania: jak krytyka marksistowska obejmie i przyswoi marksistowskiej historii literatury całe połacie dziejów naszego i innego piśmiennictwa, gdzie panowała obca dla marksizmu ideologia, gdzie niezbędne jest zrozumienie spirytualistycznej koncepcji świata, gdzie ambicją pełnej sprawdzalności naukowej musiałaby być próba ujęcia duszy w tabliczkę mnożenia?

Na zakończenie warto by jednak

wskazać, dlaczego katolicyzm ma szanse miażdżącej przewagi w kierowaniu krytyki literackiej na właściwej drodze.

Oto katolicyzm uczestniczył w większości procesów dziejowych i przez to jest głębszy historycznie i szerszy koncepcyjnie, obejmuje zjawiska, które wymykają się racjonalnemu pojmowaniu, poprzez swoje spirytualistyczne właściwości wnika bezpośrednio w świat wyobrażeń ludzkich, w Jednostkowym, czy zbiorowym tego słowa znaczeniu.

To największe, chociaż nie wszystkie, jego atuty.

W przyszłości uda mi się może zrealizować w mniej szkicowy sposób próbę wykazania siły tych atutów na tle prądów myślowych XIX i XX stulecia.

Zygmunt Lichniak

Jacek Stwora

P R Z Y P Ł Y W

(w czwartą rocznicę inwazji)

1.

Hannibal Hamilton wydaje się trochę za duży i niezgrabny i tak, jakby nie umiał poruszać się po brudnej, oleistej wodzie. Odchodzi od brzegu bokiem, zostawiając za sobą mętną pianę. Nagle zadudniał, bulgocząc nadrzucił tyłem i nieodecydowany zatrzymał się, prawie chcąc wracać.

Wszyscy wiemy, że Hannibal Hamilton do moła nie wróci. Brzeg stał się dla nas nie ważny, — już był przeminął.

Z ciekawością śledzimy pustą skrzynkę z corned - beefu, w której przezroczyta meduza urządziła sobie tratwę, żeglując najspokojniej w naszym kierunku. Ale i liczenie żółtych desek, z niewiadomo gdzie i jak rozbitych skrzyń, nie mogło skrócić nudy bezczynności, w którą niemo pograżył się szary Hamilton.

Powoli mijające nas statki, przyciągnęły popielatym dymem leniwe, lamizańskie popołudnie. Czarne dno by dźwigarów zwieszają się nad wodą, brzeg oddala się w nieokreślonej mgie. W dokach robotnicy portowi piją na pewno cup of tea. Gdzieś niedaleko tylko na horyzoncie, białawy dym znaczący obmierzele wybuchy latających bomb.

Dobrze już pod wieczór statek nasz rusza. Płyniemy w dół Tamizy. Śmieszny ni to galar, ni to statek pilota pokażuje do nas syreną, zbierając po drodze podobne do nas z wyglądu i zawartości statki. Konwój jest gotów.

Rolliny — bagi układamy na jakimś deku, na którym zawieszono namiotową płachtę, przygotowując się do spędzenia nocy for Officers' only...

Ostry lipcowy wiatr telepie swobodnie naszym mieszkaniem.

Rotmistrz Jan Kanty budzi mnie dość gwałtownie:

...patrz, jaki kapitalny widok!

Chrapliwy rechot przefrunął tuż tuż nad kominami Hamiltona przy-

chając karbidowym ogniem bucząc, zniknął...

Na lewo i prawo od nas wirują szalone, białe, żółte, czerwone krążki, wikłają się w zagmatwane ścięgi i giną łapanie czarną siecią nocy.

Slepe, ogłuchłe w swym warkocie flying — bomby pędzą nieczule, niebaczące na nic, gdzieś na wprost przed siebie, przerażone własnym latającym bezwładem, aby w tępy milczeniu spadania roznieść się w ostatnim histerycznym wybuchu.

I znowu grzechotliwy wytrysk błyszczących talarek, zielonych kropek, przecinków, zwijających się na wodzie w migotliwe serpentyny, by potem nagle wystrzelić długim, ognistym batem, bijącym w granatowe niebo litanią pocisków pelot. Daleko gwizdzą syreny i na swój sposób bronią Londynu od V1 i V2.

Maszyny pracują równo i cicho. Konwój podchodzi pod wapienne zręby Dovru. Na południe od nas, po przeciwnej stronie Kanalu, niemiecka artyleria nadbrzeżna zna dokładnie odległości i cele. Konwój ślizga się, jak cień. Bezszelestnie. Wiatr wpada na pokład krzepkim, głębokim oddechem i coraz bardziej odpycha w noc brzegi hrabstwa Kentu. Jeszcze minuta, dwie i tamten ląd stanie się dla nas niebyły. Zniknie. Płyniemy coraz szybciej i pewniej.

Za nami zostaje wyspa pięciu lat.

Autobusy, sweetharty, wrzosowiska, namioty, dancingi, mdły ogień na kominiku, deszcz, szkocki deszcz, wietrzne, gorzkie noce, mgła spadająca na oczy. Tyle lat...

Nad głową wysokie gwiazdy, towarzyszyki naszych dróg i wędrówek.

Tak samo obce i tak samo dalekie.

Na niebie mignął reflektor dalekim ku nam pożegnaniem.

Fala uderza o dziób, jak niespokojna myśl.

...Czwarta ulica na prawo to Karłowicka, a potem już parę kroków do domu. Tak blisko...

2.

Rano wybiega z morza naprzeciw, ostrym, rażącym blaskiem, obrzucając jaskrawym pyłem, dziwny, morski krajobraz. Stoimy w środku ogromnego tarłowiska okrętów, statków, łodzi, barek, w zbieraniu kolorów pstrych, szarych, biało-niebieskich, czarnych, ogrodzeni nieregularnym wykresem masztów, kominów i lin trzymających, brzuha-te, lśniące balony.

Daleko z niebieskiej, delikatnej mgiełki wygląda żółta od słońca kościelna wieża.

I tam jest właśnie Normandia. Szybkie, gwizdzące korwety, żwinności wodnych pajaków, prze-

ślizgują się obok, dmuchając czarnym dymem, aby nagle zrobić nieoczekiwany unik i pogać w białej pianie i zniknąć w błękitnym horyzoncie. To znów burkliwe, wysmołone tankowce, kolebią się powoli, płynąc gdzieś swoim przeznaczeniem.

A z odległości paru mil czuwa — ultima ratio — tego wszystkiego dookoła, milczący i sam, nieruchomy pancernik, własność of His Majesty the King.

Koło południa zaczęto odkrywać obciążone celtami okrętowe luki. Stłoczone trzytonówki, Fordsony, czołgi, jeepy, oddychają teraz swobodnie słonym, morskim powietrzem.

„Dżoki” z Royal Engineers intensywnie montują dźwigi, bloki, lewary, klnąc z niezakonaną przybudówką w rodzaju wieży o.p.l., gdzie przy opuszczonym Browningu 0.50 smętnie żuje gumę Amerykaniec o piegawatej twarzy.

Niespodziewanie nad naszymi głowami, złapany w stalową siatkę łopocze żałośnie biedny, bezbronny Fordson. Gruba łapa dźwigu opuszcza go automatycznym ruchem w dół, coraz niżej i zatrzymuje się tuż nad blaszanym pokładem barki, aby w końcu troskliwie postawić rozkraczony samochód na dno. Potem już wszystko idzie, jak w King's Regulation. Samochód — czołg, czołg — samochód.

Fala dotąd spokojna zaczyna się niepokoić i coraz silniej bębnić o stalowe boki statku. Jesteśmy gotowi do przeprowadzki z Hamiltona na barki. Zrywa się skądś chybottliwy wiatr huśtając sznurowymi drabinkami, zwieszonymi wzdłuż burt. Barka wylądowana sprzętem i ludźmi odpływa, jej miejsce zajmuje druga, Szybko i sprawnie. Takie inwazyjne autobusy.

Sierżant z któregoś batalionu piechoty, z karabinem przez szyję, obwieszony plecakiem, schodzi wolno w dół. Trudno jest kołysać z tym wszystkim na wąskich szczeblach drabinki. W dole podryguje ciężko na wysokiej fali, masywny plaster barki.

Wtem nieudały krok, poślizg ręki po linie, przytłumiony plusk czy krzyk... i kurczowo zaciśnięte palce na zwisających sznurach.

Bulgottliwa woda topi w wąskiej przerebli, między statkiem a kryją człowieka.

Krótki gwizd natychmiast odpływającej barki.

Wzdęty, zielony łeb fali podrzucił znów gwałtownie odciąga do dna ręce zawzięcie broniące szorskiego uścisku lin.

W siniejącej w wyteżeniu twarzy bryzga morze zimną, gorzką pianą. Ostatnim, głuchym wysiłkiem drętwiejąca ręka oplątuje dookoła ramion i szyi mokry, czarny sznur.

Ten człowiek się udusi!

Równocześnie dwa skoki w wodę. Saperzy z Royal Engineers rękami spracowanymi od stalowych lin, ciężkich lewarów, żelaznych bloków, podtrzymują opite wodą, bezwładne ciało.

Opuszczona szalupa podskakuje nierówno, daremnie usiłując zbliżyć się z ratunkiem. Wreszcie jedno szczęśliwe uderzenie wiosła, przychwyt wyciągniętej dłoni i dwa ludzie z Royal Engineers przykolebują sierżanta do łodzi, by potem samym zwałić się ciężkim znużeniem na dno szalupy.

Na pokładzie wśród czarnych i granatowych beretów jest zupełnie cicho.

Tak, jak gdyby salutowali to pierwsze braterstwo broni.

Barką płyniemy coś dwie mile na wprost słońca. Mijamy osowiałe cmentarzysko rozbitych lub zatopionych okrętów. Pograżone w bezruchu krzyże czarnych masztów.

Dobijamy do długiego, stalowego moła. Zamknięty, mopsowaty nos barki otwiera się, tworząc pomost, po którym zaczynają się niezdarne tarabanić wozy, czołgi, scout - cary. Rozładowanie idzie szybko, przynaglami okrzykami regulatorów. Idziemy na piechotę w stronę piaskowo żółtej plaży. Żelazny pomost ugina się pod ciężarem mijających czołgów. Pod nogami chlupie mętna woda.

Brzeg wygląda raczej nienaturalnie, nie tak, jak go sobie wyobrażaliśmy.

Brązowo - zielona szkarpa podziurawiona lejami. To jest ta zapora chroniąca III Rzeszę zapleczem „słodkiej Francji”? Parę patetycznie nasrożonych bunkrów zbitych wyrwam od bomb. Powyginane prety z resztkami betonu. Rozwalone stanowisko o.p.l. Okopy oplecione wikliną. Bez wrażeń.

Jest bardzo gorąco i schodząc od brzegu po wapiennej drodze, przejeżdżające samochody obsypują nas gęstym, mialkim kurzem. Dochodzimy do jakiejś asfaltowej szosy roz-tarמושzonej pociskami artyleryjskimi i gąsienicami czołgów.

Przystajemy na skrzyżowaniu. Od domu o zwalonym dachu, człapie ku nam sabotami Francuz. Ma obszarpany, słomkowy kapelusz. Niezdecydowanie przystaje, trąca łaską zakurzoną zwiędłą trawą i dość obojętnie nam się przygląda.

Zaczynamy rozmowę z „oswobodzoną ludnością”.
Więc... Bonjour... comment allez vous...

Wolno odkleja z wargi wiecznego Gaulois'a, dopalonego do granic, splotu i usiłuje nas pocieszyć.

...English very good...

Kiedy nie jesteście Anglikami.

...Eh, bien... avez vous... hm... pokazuje nam palcami, une cigarette...

Dostaje.

... Canadien, très, très bon.

Jesteśmy Polacy.

... Quoi? Po... Polonais?

Tak. Yes. Qui. Polacy!

... Eh, bien... hm... Polonais —

trés bon, très bon...

Postał jeszcze chwile, jeszcze raz się przyjrzał i poszedł.

Ca va.

3.

Na płaskich polach pod Bayeux pułk nasz stał około pięciu dni. Wygrzewaliśmy czołgi do słońca, czekając. Nic szczególnego wokół nas się nie działo. Jedynie w nocy trza-skała pelotka do przemyskającego się chyłkiem niemieckiego samolotu. Dowiadujemy się, że Dywizja wchodzi w skład Armii Kanadyjskiej.

Na odprawie natarcie wygląda jasno i przejrzysto.

Uderzamy z pod Caen, po uprzednim zmiekkczeniu terenu przez kilkadziesiąt dni, a osobny „parasol lotniczy” dopomocze jeszcze bardziej. Hajlanderzy i Kanadyjczycy oczyszczą nasze podstawy wyjściowe, a my przejedziemy się niemal szarżą (omi-jając tylko leje i wyrwy), aż po Falaise.

Na moim czołgu wymalowałem sobie jedno imię: Joanna.

Na szczęście.

4.

Siódmego sierpnia 1944 roku...
Chłodna, gwiazdzista noc.
Wymarsz 24 Pułku Ułanów godz. 23.00.

Cicho burczą silniki. Drzemniemy obok czołgów, czekając na rozkaz ruszenia. Wyrwa nas z półnu szumiący warkot motorów. Jedzie pierwszy szwadron, jedzie drugi. Mijamy mroczny zagajnik, dołączając na ogon kolumny. Poprzez niegłęboką wąwoz skręcamy w prawo w pole, wpadając w ciemną, brązową banie-kurzu. Tu ma być gdzieś punkt przejścia pułku.

Nie widać nic.

Sypki pył stoi w powietrzu.

Zakleja oczy, usta, nos niewidzialną płachtą. Jesteśmy zawieszeni w prochu jak w matni. Z trudem łapie oko gdzieś niedaleko nikiący oga-rek czerwonego światła poprzednika. Poruszamy się ślepych ruchem, po omacku na słuch. Ni stąd ni z owąd, prawie przed gąsienicą czołgu wyskoczy niewyraźny cień ciężarowego wozu, lypnie przestraszonym reflektorem i zniknie w gęstym brudnym tumanie. Wreszcie wydostajemy się

Dnia 6 czerwca, w piątą rocznicę śmierci, o godz. 11 w Kościele Zbawiciela odbędzie się Msza św. za duszę

ś. p.

Wandy z Palzerów
KOPCIOWEJ

na którą zapraszają

Mąż, córka, synowa, zięć i wnuki.

na połą, wyboistą drogę. Czołgi ciągną za sobą biały, pofalowany bal kurzu. Jest trochę lepiej, jakoś można oddychać.

Wjeżdżamy do wpół zburzonej wioski, przykrytej grubą derką wapiennego pyłu.

Kawałek asfaltu. Połamane płoty. Czarne ogrody. Laski. Zakrety.

Przeskakujemy trzęsący mostek.

Ktoś miga latarką, skręcamy ostro w prawo. Czołg przed nami zrywa gąsienicę, zarzuca tyłem, kopiąc rudym dymem. Wpadamy na trakt wytoczony żabimi oczkami zielonych lampek. Trasa prowadzi na przelaj przez pola.

Z boku małe, gołe pagórki. Kawałek spalonej farmy. Samotne drzewa. Regulatorzy. Chaszcz. Wyrwy. Rozbite carry'ę.

W zębach trzeszczy piasek. Chce się pić. Czołg trzęsie po koleinach. Noc dłuży się, rozciąga w huczającej, beczennej jeździe.

Nad ranem robi się przejmująco zimno.

Horyzont sinieje zieloną pręgą. W oddali od czasu do czasu zadrgają czerwone sznurki pocisków. Dojeżdżamy do Caen.

Szarzeje.

Na przedmieściu angielski żandarm w lśniących butach, wskazuje kierunek w lewo. Zatrzymujemy się. Po obu stronach ulicy, ogrody o smutnej zieleni. Przyglądamy się bliżej, a drzewa zasłaniają już tylko rumowiska białych will.

Gryziemy czekoladę, która smakuje ziemście i gorzko. Przy każdym naszym ruchu kurz odpada z nas płatami, a gruba koszula „angola” szoruje jak piaskiem plecy.

Palić silniki! Ruszamy.

Wjeżdżamy w głuche ulice.

Rozdarte żrenice okien patrzą na nas resztkami fasad. Domy zdruzgotane nieszczęściem. Ciężar belek, kamieni, potrzaskanych cegieł, przywalony martwym zaduchem pogorzeli.

Gąsienice skrzypią po bruku jak turkot ogromnych karawanów.

Przejeżdżamy mosty na rzece Or.

Po drugiej stronie wita nas raz po raz błysk artyleryjskiej salwy. Mijamy stanowiska baterii ustawionych za miastem, na szeroki łąkach. Obok w rowach Kanadyjczycy piją wczesną herbatę z blaszanych kubków. Koło nas mignie czasem wysoka sanitarka. Jedziemy jeszcze kilkanaście minut, aby w końcu skrócić z szosy na duże, równe pole, porośnięte z rzadka czerwonymi badylami.

Pułk osiąga punkt dojścia.

Słońce wychodzi wysoko, kiedy wreszcie jako tako zdążyliśmy przeżyć nabraźnię, czerwone oczy. Potem śniadanie na prędcie i przecieramy na sucho lufy dział.

Przed nami, po dość szeroko wytoczony białymi taśmami drodze, w zaminowanym polu, kręcą się jacyś żołnierze. Za chwilę zajeżdża tam pluton Skorpionów.

Przeciagnęliśmy trochę zmęczone nogi na twardej ziemi, gdy wtem bardzo krótko: do czołgów! Ruszamy.

W przód, w lewo od nas rzadki sosnowy laszek z połamanymi drzewami, przysypany szarym kurzem. Jedziemy wzdłuż drogi, przez brązowe, gliniaste pole, skopane lejami pocisków.

Ciepło.

Kolumna staje. W dużej, żółtej wyrwie dwaj Kanadyjczycy przy wymontowanych z czołga cekaemach. Z tyłu, na skraju dołu zwisa bezwładny Sherman, oparty o niego plecami, óm sweet -czaporala Kanadyjczyk z pistoletem w ręku. pilnuje dwóch Niemców. Siedzą zakurzeni, obrośnięci, brudni. W tępych znużeniu patrzą nieruchomymi oczyma w gąsienice naszych czołgów...

Marsz. Mijamy przejazd i nasyp kolejowy. Znowu przystajemy obok bezlistnego zagałęnia. Zwiędłe, ob-

darte z kory drzewa sterczą drzazgami konarów.

Rozburzony mur.

Farma. Wylupane framugi okien z podartymi firankami. Wygląda to wszystko, jak dekoracja z filmu o tamtej wojnie.

W brudzie, w opiętym jak w wełniane jegiery mundurze, wydeły do gorejącego płonąca leży zabity Kanadyjczyk.

Godzina czwarta po południu. Upał.

Pluton w rozwiniętym szyku wcisnął się pomiędzy popielaty, bukowy zagajnik.

Meldują prawdopodobne Tygrysy na przedpolu.

Nic nie można dostrzec.

Co chwila tylko gruchnie samotnie artyleryjski granat. I nic.

Trzeci szwadron rusza do przodu. Rozjeżdżamy dojrzałe pole owsa. Uwaga na miny! Owies pryska z pod gąsienicę i dziobie twarz, ostrymi łuskami. Podchodzimy pod niewielki wzgórek, porośnięty wąskim klinem drzew. Wpadamy w stromy rów, głośno wyją silniki, wyciągając się po pochylonym spadzie. Za drzewami

zaczyna się rzadki, dziki sad. Polne jablonie czy grusze na obłym leniwym pagórze.

Pierwszy pluton dotyka ostrożnie czołgami horyzontu. Gdzieś w lewo dobrze już walczy drugi szwadron.

Podciągamy się na szczyt wzgórza. W wąskich wnękach tu i tam okopani dragoni.

Z lewa drugi szwadron robi unik. Ma straty. Kaczan podobno zestrzełony. Ranny.

... Wysoki, falujący gwizd pocisków moździerz. I znowu przed nas, za nas... Wybuchy...

Dwóch dragonów układa coś pod drzewem, za czołgiem. Na końcu pod dziką jabłonią leży rozkrzyżowany, przezroczyście żółty, szerokokoki. Na brzuchu czerwona plama bandażu. Klęczący nad nieznanym kolegą sanitariusz, jakby się modlił.

Trzeci szwadron naciera na wzgórze dwoma w przód.

Wolno staczymy się po zbocz.

Czerwony syk przed, za czołgiem.

Na pustym, gołym stoku pali się krótkim płomieniem czołg.

Kto?

Znowu furkot. Jakiś błysk na czołgu Wituchny. Dobrze. Jedźcie dalej. To dobrze...

Dział strzela granat za granatem w zakrzaczony parów przed nami. Tak, zdaje się stamtąd rąbią do nas bepance. Leszek w dole natknął się na panterę. Sam na sam. Psiakrew!

Tam znowu ktoś się pali.

Granat, dym, granat, dym... Ciekawie rwie się krótkimi seriami.

Przez radio rozkaz: — wracać...

Artyleria niemiecka ryje serię za serią we wzgórze. Czarny, trwały dym.

Ktoś nierówno biegnie przez dziki sad. Ma zakrwawioną twarz, krzyczy coś zapieczonym głosem:

... starszy... ułan Karabin... zabity...

Ze zburzonej wioski Cramesnil wychodzi zmierzch. Odprawa w głębokim, wilgotnym leju po bombie... ubezpieczenie pra...

— rotmistrz Piwoński śmiertelnie ranny. Parę godzin temu mówił jeszcze, że...

Okładają nas moździerzami. Biegiem wracamy do czołgów.

Aleksander Gella

PERSPEKTYWY RZEZBIARSTWA

Sztuki plastyczne są przejawem kultury najbardziej może uzależnionym od podłoża ekonomicznego, oraz ustroju państwowego i społecznego. Jest to roślina, która jedynie na dobre uprawionym gruncie i przy pewnych tylko konstatacjach niebieskich rozkwita i wydaje owoce. Rozwój sztuk plastycznych wymaga bowiem spełnienia dwóch warunków: dostatecznie wysokiej stopy dobrobytu i odpowiedniego mecenatu. W innych jakościowo formach domaga się spełnienia tych warunków malarstwo, w innych rzeźba. Żyjemy w czasach kryzysu malarstwa stalugowego, równoległego do kryzysu burżuazji, jako że właśnie burżuazyjne społeczeństwa wytwarzały klimat umożliwiający jego rozwój.

Historia rzeźby biegnie po innych liniach rozwojowych. Wymaga bowiem innego, wielokrotnie potężniejszego mecenasa, a oprócz tego bardziej niż malarstwo uzależniona jest od twórcy.

Nie było rzeczą przypadku, że rzeźba Babilonu i Egiptu powstała w bazalkie i granicie. Zasadniczą przyczyną była dostępność tego materiału. To zaś tworzywo wpłynęło w pewnym sensie na charakter sztuki tego okresu podobnie jak sama struktura społeczna i typy państwowości w owej epoce, której wyrazem zarówno Semiramida, czy pałac Sargona, jak Faraon czy piramida. Pewna widoczna różnica w monumentalności architektury i rzeźby (tu niesposób ich rozgraniczyć, owych pokrowych kultur), znajduje wytlumaczenie w tym, że niezbędne do budowy kamieniołomy znajdujące się w Babilonii na dalekiej północnej granicy były trudniej dostępne, niż w Egipcie.

W Grecji starożytnej gliniane i brązowe statuetki rychło wypiera monumentalna rzeźba kuta w marmurze, dotrzymując kroku wspaniałemu rozwojowi sakralnej architektury. Nic dziwnego, w Pentelikonie pod boki Aten mieli starożytni wspaniałe kamieniołomy doskonałego marmuru. Z paryjskiego marmuru powstał Hermes Praksytelesa. Biały, statutowy marmur wydobywali poza tym na Paros, Naxos, w Carrarze... (co za czas — westchnie niejednego rzeźbiarza).

W ubogich społeczeństwach średniowiecza, rozwijający się na północy gotyk poszukiwał sobie skromniejszego materiału — piaskowca.

Włochy renesansu przekazały potomnym swą duszę zaklętą w karykaryjckich marmurach nie tylko dlatego, że było to odrodzenie klasycznej sztuki starożytności, ale też dlatego,

że marmur był pod ręką, a papieże dość potężnymi mecenasami, by jego wydobycie i transport finansować. Renesans, nawiązując do czasów Myrona, wprowadza również brąz, Pozwała już na to stopień rozwoju ówczesnej techniki, Technika pośpiesza zawsze z pomocą kulturze pragnącej utrwalić swe oblicze w materiale możliwie najtrwalszym.

Tak, jak nie trudno dopatrzeć się związku między rozwojem sztuki rzeźbiarskiej a materiałem znamionym i łatwo dostępnym dla danej epoki, podobnie możemy zauważyć pewien stosunek między rzeźbą a formami ustrojowymi społeczeństw.

Siłki mógł powstać w państwie Faraonów, ale mimo tak potężnego mecenasa nie mogłaby w Egipcie rozwinąć się sztuka analogiczna do greckiej. Tu decyduje bowiem rodzaj „zamówienia społecznego”. Ateńczyk głód przeżyć artystycznych i estetycznych zaspakała na terenie życia publicznego, gdzie spędzał większą część swoich dni. A że pod słonecznym niebem Grecji życie to kwitło na otwartych przestrzeniach Akropolu, stadionów, gimnazjów i amfiteatrów — następstwem był potężny rozwój rzeźby, jako że ta forma wypowiedzania się plastyka odpowiadała najlepiej charakterowi współczesnej architektury i urbanistyki uzupełniając ich świetność. Czując się doskonale na otwartej przestrzeni i pod gołym niebem, dystansowała greckie malarstwo.

Czyniąc przegląd historii sztuki nie trudno więc zauważyć, że rozkwit rzeźby poza wspomnianymi warunkami ekonomicznymi zbiega się zwykle z pewną atmosferą życia społecznego. Wytwarza ją urbanizacja, intensywność życia publicznego i jego demokratyzacja.

Ale wróćmy z wędrówki po stuleciach do dnia dzisiejszego. Rzeźba współczesna nie przeżywa tej depresji co malarstwo. Kryzys naszej cywilizacji nie znalazł w niej tak wyraźnego symptomu, jak w jej młodszej siostrze — malarstwie. Choć i ona od czasu do czasu, gdy zerwała malżeństwo z architekturą, stając się coraz bardziej emancypowaną, świecką dekoracją, czuje się jak gałązka kwitnącej jabłoni, zerwana i umieszczona w wazonie.

Ale oto nadchodzi czas, w którym — ufać możemy — zejdzie z Parnasu, wróci do gleby, z której wyszła, do szarego tłumy i jego codziennych spraw. „Trzeba odejść od tych miejsc, gdzie wyrwana z życia sztuka czeka na przybyśca, który postanowił w danej chwili oddać się

przeżyciom czysto estetycznym” — pisze w „Uspołecznieniu kultury” Bohdan Suchodolski — (książce, którą gdyby napisał i wydał Anglik, na pewno doczekałaby się już tłumaczeń na wiele języków i powszechnego rozgłosu). Trzeba wykorzystać okazję, dziś przy budowie nowego życia i pomóc sztuce w pełnieniu jej naczelnego zadania: bezpośredniego i stałego wpływu na kształtowanie się psychiki społecznej, ożywiania radości życia i przez to zachęcanie do wysiłków.

Sądze, że nadszedł już czas, by usychająca na Parnasie, a dostępną tylko elicie wtajemniczonych sztukę wrócić społeczeństwu, któremu bez jej soków ożywczych grozi barbaryzacja. Czasy, które idą, będą okresem walki o równość kulturalną, tak jak były wieki walki o równość wobec Boga, zrealizowaną dopiero przez chrześcijaństwo, jak był wiek walki o równość wobec prawa, zdobyty w ogniu Wielkiej Rewolucji i ten następny — walki o równy podział dóbr materialnych, realizowany przez epokę współczesną. W tym kierunku winniśmy dążyć świadomie.

Każda epoka utrwala swe oblicze w jakimś charakterystycznym dla niej materiale. Znamiennym twórczym naszego wieku jest cement. Przestrzenna siatka drapaczy chmur, szkielety budowli przemysłowych, kanały i tunele, nawierzchnie dróg i tamy rzeczne, nabrzeża portowe i zapory wodne, okręty i pływające doki, podkłady kolejowe i seryjne domki prefabrykowane, to krótki przegląd zastosowań cementu. Nie zwrócono dotąd jednak większej uwagi na możliwość rozwoju rzeźby, jaki może i powinien nastąpić w związku z wykorzystaniem betonu jako plastycznego tworzywa. Choć wszystkim na ogół wiadomo, że istnieje szereg prac rzeźbiarskich wykonanych w betonie, ale nikt nie pomyślał nad dalekimi konsekwencjami płynącymi z faktu, że najtańsze i najbardziej charakterystyczne tworzywo naszych dni jest zarazem materiałem plastycznym jak gлина, a trwałym niemal jak kamień.

Polaka ludowa, przed którą stoją między innymi dwa odrębne zadania: odbudowy kraju, stolicy, oraz podniesienia kulturalnego mas, winna zwrócić uwagę szczególnie na sprawę rozwoju rzeźby, jako tego przejawu sztuk plastycznych, który najłatwiej czynić jedynym z narzędzi w walce o upowszechnienie kultury. Rzeźba, która nie potrzebuje dla kontaktu z najszerszymi masami opieki muzeum, lecz wychodzi na narzec-

5.
Z 600 jardów przed nami z flanki z granatowego lasu wychodzi szwadron Churchill'ów, w czerwonych nitkach cekaemów. Zanurza się w miękkie zboże. Walczy. Wtem raz... dwa ... trzy...

cztery ... już piąty pali się białym, zimnym płomieniem. Zmierzch szaro-stalowym dymem przykrywa palące się czołgi.

Noc twardo składa swoje mroczne ręce na naszych zmęczonych ramionach. Na wargach gorzki smak, po mdłej ciepłej wodzie. Pragnienie.

Za plecami przeraźliwe tony i głuchy łomot wybuchów.

Dusžno.

Głowa opiera się na miękkiej okładce lunety.

Na okularze cyfry:

600 ...

1000 ...

1500 ...

Od pierwszego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku upłynęło:

4 lata ...

11 miesięcy ...

9 dni...

Jacek Stworo

ciw, stając na miejscach, przy których najsilniej wzbiera nurt społecznego życia — może odegrać kolosalną rolę w kształtowaniu psychiki i kultury plastycznej naszego społeczeństwa.

Dlatego właśnie teraz, w okresie odbudowy należy przedyskutować możliwość rozwoju rzeźby w nowym tworzywie. Spróbujmy przyrzeć się szeregowi momentów przemawiających za moimi uwagami:

1) Jednym z czynników powodujących oderwanie się rzeźby od współczesnej architektury, obok zarozumiałości inżyniera, który zwykle organizując formy przestrzeni nie pozostawia miejsca rzeźbiarzowi, jest stale wzrastająca różnica między tempem wznoszenia budowli a tworzeniem dzieła sztuki. Technika pracy artysty nie posunęła się zasadniczo od czasów Fidiasza, natomiast przeciwnie — Partenon budowano dłużej, niż nowoczesny drapacz chmur. Płusem więc zarówno techniki odlewów jak i modelowania w betonie (szczególnie trocinowym) jest ogromne zwiększenie tempa powstawania dzieł sztuki.

2) Potaniecie kosztów związanych z powstaniem rzeźby monumentalnej. Normalnie składają się na nie bowiem, poza honorarium artysty, przede wszystkim cena materiału, koszt jego transportu, często koszty pomocy technicznej, a wreszcie przewożenia i ustawiania dzieła na miejscu przeznaczenia. Przy rzeźbie betonowej nie zmieniają pozostaje jedynie nakład duchowego wysiłku artysty włożony w bryłę, jako dzieło sztuki, natomiast wszystkie inne, tak wielki procent kosztów ogólnych stanowiące elementy powstawania dzieła ulegają kolosalnemu uproszczeniu i potaniu zarazem.

3) W następstwie — zjawia się możliwość upowszechnienia rzeźby w rozmiarach spotykanych chyba jedynie w demokracjach starożytnej Grecji, której marmur był tworzywem nie tylko rzeźby, ale przede wszystkim architektury. Możliwość produkcji tanich odlewów przyczyni się do wyparcia (często obcej) tandety, a upowszechnienia prawdziwie wartościowych prac naszych rzeźbiarzy, które przez takie formy, jak figury przydrożne, nagrobki, rzeźby ogrodowe itp. zbliży sztukę do ludu.

4) Charakterystycznym plusem rzeźby betonowej jest łatwość naprawy jej uszkodzeń.

5) Istotnym, choć uykającym spod konkretnych określeń, jest stosunek faktury rzeźby betonowej do współ-

czesnej architektury. Każda rzeźba musi zachować charakter odpowiedni do swego tworzywa. Ciężka, masywna o uproszczonych liniach, nieazurora i pozbawiona zbędnych szczegółów rzeźba betonowa harmonizuje doskonale ze współczesną architekturą i urbanistyką.

6) Polichromia w betonie jest łatwa i może być bardzo bogata, a powleczone specjalną emulsją chemiczną nie poddaje się wpływom atmosferycznym.

7) Dzisiejszy mecenat państwa stwarza możliwość ogromnego rozwo-

ju tej gałęzi sztuki i wprowadzenia jej w nieprzewidywanych rozmiarach w ramy odbudowy stolicy. Chodzi bowiem o uwzględnienie tego zagadnienia na tle całokształtu gospodarki narodowej. Nie podoła temu inicjatywa prywatna, konieczne jest tu bowiem planowanie i podążająca za nim opieka państwa.

Sądzę, że jest to droga, po której wrócić może sztuka do społeczeństwa, nawiązać z nim żywy kontakt i stać się znowu bezpośrednim kształtem jego przeżyć i uczuć.

Oczywiście cementowe tworzywo rzeźbiarza nie ma bynajmniej wyprzec żadnego innego! Beton nie zastąpi ani miękkości i subtelności marmuru, ani majestatycznego wyrazu brązu. Należy mu jedynie pozwolić stanąć obok nich, a wtedy już siły praw ekonomicznych i społecznych mogą mu odegrać rolę, która zapisać się może wielkimi zgłoskami w dziejach naszej kultury i jej uśpołecznienia.

Kiedy sprawą rzeźby betonowej zaczęło się interesować w 1939 roku, Związek Fabryk Cementu postanowił

zorganizować sześciomiesięczny kurs dla rzeźbiarzy pragnących się zapoznać z pracą w tym nowym tworzywie. Miał się on odbyć jesienią w Państwowej Szkole Przemysłu Drzewnego w Zakopanem. Czy nie byłoby wskazane, by obecnie w trzecim roku odbudowy Ministerstwo Kultury i Sztuki łącznie z Ministerstwem Odbudowy zainteresowało się bliżej tym zagadnieniem? Od roku 1939 rola cementu w budownictwie wzrosła, a zwiększona ilość jego gatunków stwarza coraz nowe możliwości w tej dziedzinie.

**

Sprawa ta przybiera na aktualności w związku z organizowaniem w Opolu betonarskiego ośrodka doświadczalno-szkoleniowego. Ośrodek ten powstaje głównie za inicjatywą i dzięki fanatycznemu uporowi odanego sprawie przemysłu betonowego p. W. Marczyńskiego, przy poparciu nestora polskiego betoniarstwa dyr. inż. J. Nechaya. Istnieją dane, by w ośrodku tym znalazły miejsce również prace doświadczalne dotyczące rzeźby i jej odlewów.

Aleksander Gella

Wędrowki po scenach polskich

W obronie Tadeusza Hołuj

Szczupłe grono czytelników moich nieświeżych recenzji teatralnych wybaczy mi zapewne, iż jakkolwiek uzbierało się kilka sprawozdań premier w teatrach stołecznych, zajmę się dzisiaj czym innym. Wróćmy, po kilku tygodniach, do granej w Teatrze Polskim w Warszawie i na jednej ze scen krakowskich sztuki Tadeusza Hołuj p. t. „Dom pod Oświęciami”. Zajmę się nią po raz wtóry nie dla jej wartości, ale dla pewnych okoliczności towarzyszących jej wystawieniu.

„Dom pod Oświęciami” wywołal rzadko u nas spotykaną ilość wypowiedzi — im to poświęcić pragnę nieco uwagi.

Aby wszystko już od początku było jasne, powiem, iż chcę bronić Tadeusza Hołuj przed jego wrogami i przed przyjaciółmi.

Za przedstawiciela przeciwników „Domu pod Oświęciami” można uważać obywatela, który nie chce swej sprawy wesprzeć powagą imienia i nazwiska, skromną literką „t” podaną w nawiasach, sygnował w 19-tym (95) numerze „Tygodnia” artykuł p. t. Zburzyć „Dom pod Oświęciami”. Pan (t) podsuwa w swoim elaboracie „odpowiednim czynnikiem...”, „co należy zrobić ze sztuką, która uznana została za szkodliwą z punktu widzenia społecznego i narodowego”. Końcowe zdanie p. (t) „coś wreszcie należy przedsięwziąć w sprawie sztuki, która...” itd. brzmi retorycznie, albowiem to „coś” co należy przedsięwziąć wskazane zostało już w tytule — po prostu; „zburzyć”, czyli zdjąć z afisza.

Nie mogę się zdecydować na ustalenie przyczyny, która zadecydowała o postawie p. (t): była to tylko złośliwość, czy ignorancja? Najczęściej jednak obie te cechy chodzą w parze. „Dom pod Oświęciami” nie jest wolny od wielu błędów. Wiemy o tym wszyscy z autorem włącznie. Jest jednak różnica między wyknięciem tych błędów, a nawoływaniem do barbarzyństwa z operaniem się w dodatku na takich argumentach jak „społeczny i narodowy punkt widzenia”. P. (t) krzywdzi działającego w dobrej wierze Hołuj.

„Dom pod Oświęciami” zawiera w sobie szereg poważnych błędów artystycznych, które drażnią wrażliwych widzów — na pewno jednak nikomu nie przynosi żadnej krzywdy. Nie będę się tu wdawał w szukanie złośliwych pobudek, którymi kierował się p. (t), sądzę jednak, iż ignorancję uda mi się wykazać bez trudu.

P. (t) wnioski swoje opiera na zastraszających odgłosach dyskusji publicznych o sztuce Hołuj. Bardzo interesującym zbiegiem okoliczności jest fakt, iż w tym samym czasie inny autor w innym piśmie na cechach tej samej dyskusji w Elektrowni Warszawskiej oparł częściowo swój osąd o sztuce, dla odmiany: osąd „nadgorliwy”.

Jak się to mogło stać? Pozornie sprawa wydaje się prosta: w dyskusji publicznej mogą brać udział wszyscy ludzie o najbardziej krańcowych poglądach. Tak, tylko że, bez obrazu uczestników dyskusji w stołecznej elektrowni, nie wiem czy te opinie można już dziś traktować zbyt serio.

Fakt wciągnięcia szerokich mas w życie sztuki stanowi poważne osiągnięcie naszych czasów. Fakt, że to „wciągnięcie” odbywa się na drodze naturalnego w społeczeństwie zainteresowania się sztuką budzi wielką radość i nadzieję. Tym nie mniej jednak, zdajemy sobie chyba sprawę z tego, że skutkiem grzechów przeszłości skutkiem wadliwej na tym odcinku polityki przed wojną, społeczeństwo polskie nie jest jeszcze w pełni do nowego życia przygotowane i w sądach swoich niejednokrotnie popełnia, mimo najlepszych intencji, wiele kardynalnych błędów. Pamiętacie co p. W. Szmański członek Klubu Literac-

kiego „Odrodzenia”, a więc człowiek interesujący się sztuką, powiedział o Zofii Nałkowskiej? (patrz „Odrodzenie” Nr 15/48).

Słusznie wówczas napisało „Odrodzenie”, że „należy spokojnie przy mować i takie głosy”, bo... „przełamywanie się literatury w wielkiej, równorzędnej i równopoziomowej masie czytelniczej jest jeszcze w Polsce niewiadomą”. Spokojnie, ale nie jako decydujący o sprawie vox populi. P. (t) nie umiał „spokojnie” przyjąć zdenerwowanego lub nieświadomego głosu w dyskusji. Dyskutaneta z elektrowni można tłumaczyć nieświadomością, o p. (t) trzeba powiedzieć, że zdradził się brakiem inteligencji.

Trudniejszym zadaniem będzie obrona Hołuj przed zwolennikiem „Domu pod Oświęciami” przed p. Jerzym Borejszą.

„Odrodzenie” Nr 10/48 przynosi artykuł p. t. „Krochmalizm czy realizm”. Autor artykułu, p. Borejsza, zechciał polemizować dwukrotnie z moją opinią o sztuce Hołuj. W tym nie ma nic dziwnego. Każdy kto pisze, wie iż może się spotkać z przeciwnym zdaniem innego z piszących. W czasie polemiki p. Borejsza uznał za stosowne pociągnąć mi za ucho twierdząc, że mam zły słuch. Smutno

mi, że nie zasłużyłem sobie na łaskawszą ocenę p. Borejszy — ale to są wydarzenia, które od biedy można przeżyć. Nie jestem niestety naczelnym redaktorem pisma, które godzi się tę moją wypowiedź drukować i do dyspozycji mam tylko ściśle ograniczoną (ktoś powie: na szczęście) ilość miejsca. Mogę więc mówić tylko o rzeczach najistotniejszych. Nie o sobie a o Hołuju. Jego muszę bronić.

Znane są wszystkie mniej lub więcej udane dowcipy o tym, co z dzieła literackiego potrafią zrobić komentatorzy. Spór Boy’a z prof. Kucharzskim świetnie sparafrazowany przez Polewkę jest tu najlepszą ilustracją. Tysiące „genialnych” odkryć na temat mickiewiczowskiego „czterdzieści cztery” — to drugi przykład. Nie można jednak mieć pretensji do przeznaczonych bełfrów: każdy czyta i rozumie utwór po swojemu.

Zupełnie co innego dzieje się wówczas, gdy komentator ma do dyspozycji poglądy samego autora wyrażone o dziele. Wówczas, wydawać by się mogło, nie może być różnic w interpretacji.

Okazuje się, że tak nie jest. P. Borejsza obejrzał sztukę Hołuj, obejrzał i odczuł po swojemu, nabrał o niej wysokiego mniemania, a później przeczytał komentarz Hołuj.

Komentarz zaprzeczył urobionej opinii. Co począć z tym faktem?

Oto reakcja: „Publicysta Tadeusz Hołuj napisał bzdurę o utworze artysty Tadeusza Hołuj”. Jest tam jeszcze dalej nawet o „mętniackich poglądach publicysty Hołuj”. Słowem: bardzo przepraszam, ale ja wiem jest niezależna od późniejszych wypowiedzi autora. Tak. Wiadomo, iż rezultaty osiągnięte bywają różne od zamierzonych przez artystę — ale, nie znaczy to, by znane zamierzenia artysty przekreślać i wołać do niego: sam nie wiesz coś napisał.

Czy możliwy jest taki stan rzeczy? by „Tadeusz Hołuj wystąpił przeciwko własnej sztuce”? Można się zgodzić z tym, że „prawda sztuki, jej logika artystyczna i wychowawcza (coś pod tym rozumieć wpływ sztuki na widza — p. a) jest niezależna od późniejszych wypowiedzi autora”. Tak. Wiadomo, iż rezultaty osiągnięte bywają różne od zamierzonych przez artystę — ale, nie znaczy to, by znane zamierzenia artysty przekreślać i wołać do niego: sam nie wiesz coś napisał.

Nieporozumienie powstało, skromnym moim zdaniem, stąd iż p. Borejsza przeczytał wypowiedź Hołuj po obejrzeniu spektaklu. Wielu recenzentów, o których autor „Krochmalizmu czy realizmu” tak niskie ma mniemania (coś, nie każdy jest zaraz Tadeuszem Brezją) pozwoliło sobie poznać artykuł Hołuj przed podniesieniem się kurtyny, pozwo-

liło sobie dalej przyjąć to jako słowa związane ściśle z tekstem sztuki i pozwoliło sobie wreszcie spojrzeć na sztukę przez pryzmat wypowiedzi Hołuj. W tych warunkach musiały powstać rozbieżności poglądów. Kto zrobił lepiej?... Sądzę, że ci, którzy nie skazują Hołuj na rozdwojenie jaźni, na rolę mrs Yekylla i dra Hyda.

Najgłębszą wypowiedź o sztuce Hołuj napisał... satyryk Jan Szelağ w n-rze 13-tym „Szpilek”. Cytowanie niektórych zdań Szelağa wolno mi od konieczności powtarzania swoich własnych słów drukowanych na tym miejscu w n-rze 15 „Dziś i Jutro”.

Czytamy u Szelağ: „Sztuce Hołuj chciano nadać szeroki rozgłos ze względu na jej wartość. Okazało się, że rozgłos był większy od wartości sztuki. Wówczas... wpadło się w drugą ostateczność. Doszło do tego, że na literackiej dyskusji w Warszawie zaproponowano wniosek, żądający zdjęcia Hołuj z afisza”. I dalej następuje bardzo słuszna konkluzja: „Hołuj trzeba wystawić, tylko zawsze trzeba wiedzieć, gdzie to robić. Dlaczego akurat w Teatrze Polskim?... Trzeba było wziąć mniejszą salę, mniejszy rozmach, niech się Hołuj uczy, jak wystawiać. A tak co? Zdolnego kandydata do zawodu dramaturga postawiono na afiszu między Szekspirem i Corneillem, a potem zmieszano z błotem i odsadzono od czci i wiary” — albo, ale to już mój dopisek, aby ratować sytuację, wbrew jego woli, zmieniono w komentarzach sens i wydźwięk sztuki. Mieczysław Markowski

Nabyć, czytać, nie czytać?...

Na nowych drogach

Studium o Elizie Orzeszkowej

Mieczysława Romanówna, Kraków, wydawnictwo M. Kot 1948 r. str. 460.

Książka Mieczysławy Romanówny rzuca na twórczość i postać Orzeszkowej, tak niesłusznie dziś zapoznanej, całkiem nowe i ciekawe światło. Autorka nie ma zamiaru stworzyć dzieła monograficznego lecz chce z życia i twórczości Orzeszkowej zarówno publicystycznej, jak i powieściowej, a również i z wypowiedzi jej w listach i pamiętnikach, wydobyć na światło dzienne nieznieszkodzoną, lecz jak najbardziej prawdziwą i realną indywidualność wybitnej przedstawicielki polskiego pozytywizmu i wielkiej bojowniczki o prawa człowieka.

Z tą dzieciństwem i jego atmosfery, z piętnem wpływu wybitnego umysłu ojca liberała - masona, na podłożu gwałtownych przemian i nowych prądów umysłowych w Europie, tak zmiennych dla fin de siècle'u wyrasta przed nami coraz doskonalsza, coraz wyżej się wznosząca, wyzwalająca się z pod tych obcych wpływów filozofii Buckle'a, Milla, a wreszcie Spencer'a, odrębna w swej wybitnej indywidualności, a tak rodzima i bliska osobowość autorki „Nad Niemnem”.

Okres twórczości Orzeszkowej przypadający na lata po powstaniu styczniowym, na czas rewizjonizmu spraw narodowych i krystalizacji poglądów przeciwnych romantyzmowi, sprawia, iż wiele zagadnień nurtujących umysł pisarki jest i dziś dla nas aktualnych, co autorka studiów zreszcie stara się uwypuklić.

Bliskie jest nam nad wyraz bojowe nastawienie Orzeszkowej w „Chamie”, „Meirze Ezołowiczu”, a z wcześniejszych w powieści „Ułana” i szeregu innych, gdzie powieściopisarka walczy o różne prawa nie tylko dla kobiety, ale o prawa oświaty dla ludu, o uwłaszczenie chłopów, a sprawiedliwą ocenę takich jednostek wśród społeczeństwa żydowskiego, jak Meir Ezołowicz.

Dzielać swe studia o Elizie Orzeszkowej na trzy części: 1) Dwa światy (gdzie omawia dzieciństwo pisarki), 2) Walka o prawa człowieka, 3)

Orzeszkowa a Spencer, słusznie czyni Mieczysława Romanówna nadając jej drugiej części nie tylko objętościowo, ale i jakościowo najistotniejszą treść.

Orzeszkowa jest przede wszystkim bojowniczką „o prawa człowieka” i jako taka nie przestała być aktualna.

Romanówna wybitnie podkreśla, że Orzeszkowa olśniona zrazu systemami niemieckimi filozofów angielskich, (niemieckich skrajnie materialistycznych, obcych jej konstrukcji psychicznej odrzuca bezapelacyjnie) wypracowuje swój własny światopogląd, którego źródłem jest głęboki umysł i gorące serce przepelnione uczuciami dla pozbawionej wolności narodu. Filozofia Spencer'a ze swym założeniem niepodległości narodu jako zasadniczego warunku normalnego rozwoju jednostki i społeczeństwa, trafiała mocno do przekonania przybitej wypadkami po powstaniach wybitnej działaczki narodowej i trafia nam dziś również. Głęboko sięgający demokratyzm Orzeszkowej znajdował nurt w poglądach filozofa angielskiego o równości ludzi. „Homo homini — res sacra”.

Orzeszkowa wybierając z wpływów obcych to, co było korzystne dla jej własnego narodu, sięgała wyżej. Jej słowiańska, bogata psychika nie poprzestawała na utylitarystycznym angielskim. Wniosła się do kultu idei, do kultu ofiary jednostki dla zbiorowości i na skrzydłach myśli uleciała w nieskończoność. „Ad astra”.

Ukazaniem nam powieściopisarki z przed 50 lat, jako dziś jeszcze aktualnej w całej pełni bojowniczki „o prawa człowieka” stanowi wielki sukces autorki studiów o Elizie Orzeszkowej, tym bardziej, że książkę napisaną stylem jasnym i pięknym czyta się z wielkim zainteresowaniem, jak ciekawą powieść historyczną.

Bogaty materiał bibliograficzny zestawiony na końcu studiów świadczy o starannym i skrupulatnym gromadzeniu faktów i danych dotyczących biografii i twórczości pisarki.

Halszka Krajewska

Ks. P. Parsch. Wtajemniczenie w Ofiarę Mszy Świętej w duchu odnowienia liturgicznego, przełożył ks. Józef Pachucki. Kraków, 1948, str. 287. RDEMPTORIS”.

Rozbudzone w społeczeństwie naszym życie duchowe budzi też coraz żywsze zajęcie dla liturgii naszego Kościoła. Wskutek tego zjawiają się też ciągle mniej lub więcej udatne i obszerne dzieła traktujące o niej. Do najlepszych i najgruntowniejszych pomiędzy nimi bez wątpienia zaliczyć trzeba książkę wybitnego pioniera ruchu liturgicznego, zaszczytnie znanego profesora dr O. Piusa Parscha z Klostorneuburgu w Austrii. Praca wspomniana w tytule jest jakby streszczeniem długoletnich studiów i dociekań nad mszalną liturgią.

Autor stworzył rzecz wprost znakomitą. Celem Autora było okazać wielki majestat obrzędów Ofiary Najświętszej, oświecony niebieskim wdziękiem wewnętrznego ich znaczenia i obudzić w czytelnikach cześć, uwielbienie i pobożność szczerą ku Panu Jezusowi. To się mu najupełniej udało. Dał on gruntowne opracowanie dzieła, choć dalekie od nużącego balastu naukowego, a jednak głęboko wtajemniczające i rzucające do umiłowania Najśw. Maryi.

Najmilszą zaletą książki jest rzecz ogromnie cenna zwłaszcza dzisiaj. Otóż wczytując się w piękne dzieło O. Parscha z ulgą się zapomina o tysiącach rozdzwiękach i błędach religijnych, filozoficznych etc. tak obficie wytwarzanych przez religijnie nieuświadomionych pisarzy, i doznaje się błogiego uczucia spokoju i otuchy. Autor zebrał szczęśliwie siodyc z najlepszych liturgicznych pisarzy dawnych i współczesnych, a że nie każdy może być pszczołą, wysysającą miód z pojedynczych kwiatów, więc powinien korzystać z gotowego plastru miodu, jakim jest omawiana książka.

Książka jest tłumaczeniem z j. niemieckiego i tu musimy z przyjemnością podkreślić piękne zalety przekładu. Polszczyzna bardzo dobra, czyta się gładko i nie odczuwa się obcości. Korekta dobra, w jednym tylko miejscu na str. 57 mała płaćnina w wierszach 10 i 11 od góry. Książka przynosi dużo światła i

duchowej pomocy wszystkim bez wyjątku, pragnącym głębiej zrozumieć i szczerzej brać udział w Mszy św. Przyczyni się też ogromnie do sprostowania pewnych, nieuzasadnionych historycznie, poglądów na liturgiczne ujęcie istoty Mszy św. Niechże się znajdzie w ręku każdego katolika!

C. Kozdroń.

SPROSTOWANIE

Spośród błędów drukarskich, które znalazły się w „Liście Papieża Celestyna VI do kapłanów”, (Nr 18 (127) naszego Pisma z dn. 2 b. m.) trzy zwłaszcza domagają się korekty. W pierwszej szpalcie od lewej, po drugim wierszu od dołu, nie licząc dopisku, należy wstawić: „z tysięcy dusz, Nie tylko popiołem będą znaczone wasze tonsury, ale... W trzeciej szpalcie od lewej wiersz 15-y od dołu winien brzmieć: „to często bądź kamień, bądź wata”. W pierwszej szpalcie od prawej w wierszu 31-y od dołu wyraz „wierność należy zmienić na „mierność”.

Już ukazali się
**„WYBRAŃCY
 GWIAZD”**
 powieść
 Jana Dobraczyńskiego
 wgd.
 Z. Gustowskiego

WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Bałk)

LOT JASKÓŁEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem”

Nigdy nie ma wiosny u nas w tym kraju. Jest przedwiośnie. Nie ma wiosny: nie ma nieba, opłukanego z chmur, ziemi, dyszącej pakami kwiatów i kwiatów, które zakwitną nagle jak rewolucja. Kwiaty długo i powoli rozkwitają, człowiek, codziennie przechodzący przez ogród, w końcu, zniecierpliwiony i schnący z oczekiwania, odwraca oczy od klombów, od krzewów róż. Gdy wreszcie róż zakwitną, jest już pełnia lata i budzi się myśl, że rozkwitły zapóźno, że rozkwitanie wiosenne, w atmosferze wybuchów i pierwszych ptasich pieśni, razem z konwaliai i czeremchami po lasach, byłoby dla róż korzystniejsze. Nie byłoby tak spokojne. Mniej egoistycznego dostojęstwa, więcej ze zwycięstwa. Jest przedwiośnie.

Niebo, obmotane przez wiatry i chmury, niebo pełne zapędzonych chmur jak troska, jak niepokój szarpiący. Drzewa jeszcze nagie, pąki liści nabrzmiewające, dalekie od pęknięcia. Cienkie zarysy brzoź, smukłe liście drzew rysowane na niebie niskim, chmury jak plamy żywe. Plamy śniegu, czerniejące w kałużach wody jak agat, trawy rude i umarłe, wilgotne. Pełno niezdrówia, pełno przeczuć, pełno nadziei. Przedwiośnie, młodość, która nie jest piękna, która dojrzewa w fizycznym niepokoju.

Długie płaty ozimiu, rzeka wolno tocząca krę. Rude łachy płaskowe na brzegach. Mętna woda, grożąca powodzią.

Nocami wiatr dmie w poschłe listowia, pręty wierzb i brzoź biją o siebie jak piszczele, jak kastaniety w tańcu śmierci.

Wszędzie jest pełno śmierci. Wiosna stoi przeciw śmierci. Odnawia życie.

Wiosna — arkady zielonych drzew, ciepło wieczoru, ciepło aromatów jak dymy, okrywające o zmierzchu wiosnę. Pierwsze gwiazdy, które drżą i są suche, błyszczą ładom. Wiosna nie powinna być krótka. A jeśli musi być krótka, powinna być przeżyta głęboko, nie tylko przeżyta, lecz i zrozumiana.

Zrozumieć wiosnę. — To przychodzi dopiero w parności lata, w gorące popołudnie, gdy od zachodu idzie granatowa fala burzy i gdy lot jaskółek coraz niższy staje się coraz szybszy, gdy burza przyspiesza bieg serca i oddech.

I.

Pogrzeb senatora Kunowskiego odbył się we Włukach i zgromadził sporo osób, tak, że Ksawery w końcu, poza dojmującym poczuciem straty, był zupełnie rozstrojony obecnością tylu ludzi i ich męczącym zachowaniem. Wobec Ksawerego uważali za stosowne zachowywać miny posępne i pełne urzędowej żaloby. Ale wiedział, że odkładali tę maskę natychmiast, gdy się od nich odwrócił. Mały dworek włuczanski nie mógł pomieścić wszystkich przyjezdnych i część osób została rozlokowana w Dębach Królewskich w Czerejskich, a część u młodych panów Monackich w Jadowicach. We Włukach zostali najbliżsi — pani Anna, tłukąca się po domu jak ćmi i żałująca w głębi, że przyjechała, uważała jednak, że musi pojechać na ten pogrzeb, skoro Konrad nie chciał przyjechać nawet na parę godzin, na samo przeniesienie zwłok na cmentarz. Przyjechała już po eksportacji i przejęła ją wrażenie pustki, świadomość faktu, że senator nie miał właściwie najbliższych, że nie miał na świecie nikogo. Z przyjaciół był tylko Wiegand, odnoszący się do pani Anny z manifestowaną oziębłością równie zresztą jak Monika. Była jej przykro, tym bardziej, że musiała przez tych kilka dni pozostać z nimi pod jednym dachem i że w Ksawerym nie znajdowała żadnej podpory. Był rozbity, był złamany. Ten jego ból, w którym nie umiała wziąć udziału, ból, do którego się nie mogła przymusić, był dla niej rodzajem wyrzutu i rodzajem przestrogi, że naprawdę jest w tym domu obca, równie obca jak oficjalna delegacja zakładów bukowickich, która przyjechała z Wiegandem, jak delegacja papierni w Czarkowie, jak wreszcie głuchy brat Teodora. Ledwie pamiętała o jego istnieniu i dziwiła się przytomność umysłu Ksawerego, że nie pominał stryja Marcina przy wysyłaniu depezy. Istnienie tego stryja tak nigdy brata nie wspominał, czasami tylko, raz na parę lat, pisał do niego lub go odwiedzał. Stryj Marcin płał się po dworku

Poniżej rozpoczynamy druk powieści Włodzimierza Pietrzaka-Balka, p. t. „Lot jaskółek”. Jest to jedna z części wielkiego cyklu powieściowego „Między wschodem a zachodem”, którego przedwcześnie zmarły autor nie zdolał dokończyć. Z pozostałej spuścizny łatwo się jednak zorientować, że miała to być epopeja dwudziestolecia, rodzaj sagi, nie ludzi lecz doktryn i przemian społecznych.

Ocalała dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności oraz troskliwej opiece Matki ś. p. Pietrzaka, p. Ewy Pietrzakowej i p. Zbigniewa Mitznera część piąta cyklu „Lot jaskółek”, dotyczy wypadków z lat 1935-7 i stanowi o tyle zamkniętą całość, że czytelnik nie powinien mieć żadnych trudności ze zrozumieniem wątku akcji. Drukujemy ją nie zmieniając ze spuścizny autorskiej i nie wprowadzając jakichkolwiek poprawek.

włuczanskim razem z trzema synami, młodymi chłopcami, z których najstarszy nie przekroczył jeszcze dwudziestego roku życia, był właśnie w wojsku w szkole podchorążych i Anna zastanawiała się, jak głuchy i niezaradny stryj Marcin zdołał w tak krótkim czasie wykreślić dla Janka parodniowy urlop. Jednak najwięcej przykrości sprawił jej przyjazd własnej siostry, Laury; na domiar złego także przyjechała nie sama, lecz z córką. Ta manifestacja łączności rodzinnej wydała się pani Annie zupełnie niewłaściwa. Już nie tylko dlatego, że Teodor odnosił się całe życie do Laury jeśli nie sceptycznie, to wręcz wrogo, zwłaszcza po tym, jak Anna, odchodząc od niego, zatrzymała się przez czas jakiś u Laury. Osoba młodszej siostry wydawała się teraz Annie na tle domu, w którym Teodor umarł tak samotnie, tak dosłownie przez wszystkich opuszczony, szczególnym dysonansem, szczególną postacią braku smaku. Tym bardziej, gdy Anna przypominała sobie wszystkie opinie, które Laura wygłaszała o zmarłym, jej wyraźną niechęć do Teodora, tego „złotocieńskiego skapca”. Przyjazd Laury (i to w dodatku z Jadwiną!) wydał się Annie świętokradzki. Co by Teodor powiedział, gdyby mógł to przewidzieć! Ale Laura zjawiała się we Włukach wcześniej jeszcze niż Anna i to Laura witała ją, Annę, wysiadającą z najętej w Leśnej u żyda bryczki.

— Ty tutaj, Lauro?

Wzruszyła ramionami.

— Pewnie, że nie dla Teodora. Zrobiłam to dla ciebie, dla Ksawerego wreszcie. Zabrałam Jadkę, żeby się trochę poznał. Ostatecznie, są rodzeństwem, a stosunki są między twoimi synami a moim domem tak dobrze jak żadne.

— Ale też porę wybrałaś dla nawiązywania stosunków.

— Moja droga, prawie wszyscy tu jesteśmy w niernormalnym położeniu. Konrad jak widzę nie ma zamiaru przyjechać, Ksawery rozpacza, że nie był przy śmierci ojca i chodził niepodobny do człowieka. Gdyby nie pan Czerejski, nie wiem co by się tu działo.

Szły ścieżką przez ogród owocowy, płamy śniegu, ocalałego w ostatniej odwilży, trzymały się w zagłębieniach. Trawa leżała na ziemi, żółta i zmiętoszona, przez niebo wędrowały chmury z szybkością, dającą odcień się okiem. Pani Laura szła obok Anny, w rozpiętym futrze i usta jej nie zamykały w sposób dręczący. Miała żółtą cerę i była niższa od Anny. Coś z karpia, coś z nielitosnego nleubłagania w niej było.

— Zabrałam się natychmiast, gdy przyszła depeza od Wereggo. Widocznie pragnął, żebyśmy przyjechały, skoro telegrafował... zresztą, myślny się zatrzymały w Dębach, nie tutaj. Chyba ty także.

— Nie, ja zostanę tutaj — powiedziała krótko Anna.

— Wiesz, panna Monika jest z mężem, wyszła za mąż —

— Co mnie to teraz obchodzi!

Spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Przecież ty chyba możesz zostać spokojna. Myślałam nawet, że wpłyniesz na Wereggo. Powiadam ci, wpał w zupełnie odretwienie. Prosiłam nawet wlkarego, on ma jakiś wpływ na Wereggo.

— Annie po prostu pękała głowa. Może istotnie należało nie przyjeżdżać? Własna rola wydała się teraz Annie żalosna, przejała ją strach, co powie Ksawery. Nie mogłaby znieść w jego oczach nie tylko wyrzutu, lecz nawet zdziwienia. Nie pocalował ją w rękę, ujął tylko jej obie dłonie i lekko uściśnął:

— Wiesz, nie byłem przy jego śmierci. Nie zdążyłem.

Ależ dlaczego? — szepnęła. W jej pytaniu był wyrzut, który jej samej wydał się dziwny — jakby obowiązki wobec zmarłego ciążyły tylko na Ksawerym, na nikim więcej. Tak ułożyło życie.

— Pytałem Hondeca, dlaczego tak późno depezował, w ostatniej chwili. Powiedział, że ojciec zabronił. W końcu wikary się w to wtrącił i wtedy we dwu, na odpowiedzialność księdza, wysłał depezę.

— Chodź, wejdziemy do domu, nie będziemy tu stać na dworze. Jeszcze ty się przeziębisz.

Wchodząc przez nieoszląną werandę, z której zwisały pręty dzikiej winorośli, potem przez rodzaj hall'u ze snopem z ostatnich dożynek, do mrocznego gabinetu o nawpół zasłoniętych oknach, rozglądała się z ciekawością zupełnie nieświadoma. To tu —

Jej przyjazd był jak spóźniona próba pojednania. Czuli to, że wszystko już wygasło, że zostawał człowiek wygasy i nielstniejący, że wszystkie rodzaje żalu do niego, jakiegokolwiek rodzaju być mogłyby, byłyby teraz wręcz śmieszne. Śmierć, która przyniosła pojednanie i uciśnienie. Nie chciała zapytać Ksawerego o ostatnie godziny Teodora, jakby w obawie, że Ksawery nie będzie mógł nic powiedzieć. Miała teraz tylko jedno pragnienie, zobaczyć ciałko Teodora.

— Gdzie leży ojciec?

— W kościele, już po eksportacji. Dłużej jak do jutra z pogrzebem nie można czekać. Czy Konrad zdąży, jak myślisz?

— Konrad nie przyjedzie.

— Nie przyjedzie? — spojrział na nią. — Dlaczego?

Złożyła ręce.

— Prosiłam go. Ale sam wiesz, to na nic, gdy już coś postanowił. Powiedział, że teraz nie może się ruszyć z Warszawy.

— Dobrze. Więc nie mówmy o tym. Dobrze — powtórzył i wyszedł z pokoju. Chciała pójść za nim, ale nie znała rozkładu mieszkania, nie wiedziała dokąd mógł pójść.

Wieczorem, w marcu zmierzch następują tak szybko, jeszcze tak szybko, gdy wróciła z kościoła, chciała zobaczyć Ksawerego. Służba powiedziała, że młodszy pan został na plebanii i pewnie późno wróci.

— Młodszy pan teraz co wieczór jest u księży.

Postanowiła czekać. Bała się poruszać po domu, żeby nie trafić na kogoś z nich, na Wiegand, na Monikę, na stryja Marcina. Wiegand i Monika bardziej, niż Marcin, przypominały to życie, które przeszło i w którym nic już zmienić nie było można. Właściwie, jednego Marcina się nie lękała: był zawsze tak wyrozumiały, tak skłonny do zgody i do kompromisu. Tylko rozmowa z nim była męcząca. Trzeba było mu pisać całe zdania, przyzwyczajali się tak daleko do tej korespondencyjnej formy rozmów, że i sam, zamiast mówić, odpisywał jakby był głuchoniemy. A może wiedział o tym, że jego głos brzmi chropawo, szorstko, bez modulacji, jak sylabizowanie. Może się tego wstydział i wolał pisać. Przypominała go sobie: zwracał się do niej zawsze z uroczystą emfazą — droga bratowa. Tak samo ją teraz powitał, dla niego jednego się nic nie zmieniło. Droga bratowa, o przecież niemal sztywność, tym gorzej, że tak nieświadome.

Ksawery wrócił późno. Musiała usnąć w fotelu, bo nie słyszała ani jego przyjazdu, ani kroków na schodach. Ustąpił jej swego pokoju i spał w pokoju ojca. Nie chciała się na

to zgodzić, bała się, że pokój, w którym umarł Teodor, wywrze na Ksawerego niedobry wpływ psychiczny. Machnął ręką.

— To śmieszne, co mówisz. Przecież on nie wróci, a gdyby wrócił, gdyby wrócił. — Bardzo chciałbym go zobaczyć.

Teodor przestał już być ojcem, stał się kimś bezosobowym, choć w leśniańskim kościele, pośrodku głównej nawy, na katafalku zasłanym dywanem, wśród kwiatów, które przysłali nie tylko z Dębów i Jadowic, lecz z całej okolicy, wśród pachnącego lasem i żywicą igliwia, które dostarczył las na Żarnach, leżało jeszcze to, co było kiedyś Teodorem Kunowskim. Żywym i gwałtownym, nieopanowanym w odruchach, bezwzględny i mocno cierpiącym, coraz bardziej oddalonym od żywych człowiekiem. Został sam we Włukach jak w samotni, z dala od rozgwaru, od którego w końcu uciekał, przygotowywał się tutaj do ostatecznego spokoju, do ostatecznej samotności. Pozwolono mu być samotnym do końca. Dopiero, kiedy koniec stał się już nieodwołalny, gdy pękły wszystkie więzy, znalazł się ktoś jeden, kto rozpaczal, że na ostatnią chwilę Teodor został tak opuszczony i ktoś drugi, w kim były smugi żalu, rozpamiętywania.

Śmierć nie poprawia umarłych, zastępuje im drogę i przecina ją, zostawia ich obok ścieżki takimi, jacy byli. Jeśli po śmierci umarli wydają się inni, lepsi, doskonalsi, to dzieła tutaj halucynacja, biorąca się z przeobrażenia tych, co zostają. Odejście jest groźne dla żywych, dla tych, którzy byli świadkami grozy. Bo grozą jest tylko łatwość, z jaką człowiek usuwa się z szeregu — nie śmierć sama, która jest przecież nieodłączna od wszelkiego życia.

Żywi szukają ratunku w liturgii pogrzebu, w dojmującym śpiewie cmentarnym. Te ceremonie stwarzają złudzenie, że jeszcze coś z tego, który odszedł, pozostało. Ostatnią część życia, która rozgrywa się na jego rachunek, na rachunek, którego umarli nigdy nie weźmie do ręki.

Dzień pogrzebu był wietrzny, chmury goiły po niebie, jak po stadionie olbrzymim, dołem wiatr zaczął od czasu do czasu krótkimi strugami plugawego deszczu, krople były chłodne i ostre jak igły. Ksawery przyjechał do kościoła, który ze swego wzgórza niewysoką romańską wieżyczką dominował całej okolicy, bardzo wcześnie. Proboszcz domagał się, aby jeszcze przed mszą żałobną wieko trumny zostało zabite i Ksawery chciał po raz ostatni widzieć twarz ojca.

Pożółkła maska, skóra cienka i sucha, przylegająca do kości. Powieki niedobrze zamknięte, z pod powiek dolny brzeg żreńnic, które patrzyły, choć nie widziały: dojmujące uczucie rozpacz, na którą nie było żadnego sposobu. Nie istniał bowiem sposób, aby można było czymś okupić tę jego ostatnią samotność, samotność wobec śmierci. Zapewne, mógłby się wytłumaczyć przed sobą, przed matką, mógł się złościć wobec milczenia wlkarego Kabaty, milczenia w którym był brak zgody na argumenty, jakie Ksawery wynajdywał, niemal co godzinę nowe i coraz bardziej niezwalczane, coraz bardziej wykrętne. Ale wobec tej trumny nie znajdował nic na obronę swego nieludzkiego zaniedbania. Pamiętała, że ojciec wyraził się kiedyś, że nie należy niczego domagać się od własnych dzieci. Dzieci nie mają długów wobec ojców. Spłacać dług wobec własnych dzieci i to jest wyrównanie rachunku między pokoleniami. Jednak, to była zewnętrzna, retoryczna forma wiary i Ksawery wiedział, że ojciec żył jednak nadzieją, jeżeli już nie w nikogo innego, to w niego. Odwrócił głowę od katafalku jakby w przekonaniu, że w ten sposób czas przejdzie prędzej i że trumna, raz złożona w ziemi, twardej i jeszcze podmarzłej, łatwiej da się jeźli nie zapomnieć, to przeboleć to chociaż przeboleć. Cierpienie, otoczone bólem jak warstwą powietrza, jest zawsze mniej dotykalne, mniej aktualne. Można je wywołać — i odsuwać, odalać, zatapiać

Miały być trzy msze; dziekan śpiewał długie łacińskie teksty nad katafalkiem, wlkarz stał z miną roztargnioną — jakby mu o coś innego w tej chwili chodziło niż o liturgię. Ksawery kazał jednemu z ministrantów zabrać swoje krzesło i stał sam przed trumną, pochylony i bez odwagi. Rozejrzał się: o parę kroków z tyłu klęczała matka, a obok siedział stryj Marcin z laską, opartą o kolano. Potem dziekan odwrócił się w stronę nawy i mówił coś długo, coś, co było pośrodku między ideą kazania a mową pogrzebową.

C. d. n.

FILM Czytelnik uważa, że...

STALOWE SERCA. Zanim jeszcze zobaczyliśmy ten film na ekranie opowiadania tych, którzy go oglądali poprzednio pokazały nam jego fragmenty. Oto wrażenia, które utkwiły w pamięci poszczególnych widzów:

„Dużo dymiących kominów fabrycznych, patetyczny głos: Niecierpliwisz się przyjacielu? — Będzie my działać spokojnie! Marionetkowi Niemiec: stara się być strasznym i zaleca się (bez wzajemności) do sanitariuszki. Sanitariuszka: przeważnie cierpi szlachetnie w milczeniu. Inżynier: posagowa postać bez skazy. Dialog: Ida już! Idziesz? (Idzie). Wybuch w hucie — szereg porozumiewawczych gestów konspiratorów, długie, bardzo długie zbliżenie połączonych gratulacyjnym uściskiem dłoni (wszystko w natłoczonym schronie). Niemcy wprowadzają konfidenta — konspiratorzy natychmiast spowiadają się przed nim. Dopiero inżynier wymierza mu należyty karę i strąca w rozżarzoną czelustwę wielkiego pieca, z którego buchają kłęby ognia i dymu. Następuje jeszcze kilka bohaterkich momentów i wreszcie koniec — znów długo, bardzo długo, raz na lewo, raz na prawo maszerują kolumny.

To wszystko byłoby bardzo wesołe gdyby nie fakt, że jest to film naszej produkcji. Widzieliśmy ostatnio dwa filmy oparte na dziejach konspiracji. Jak doskonale był ujęty materiał w „Bitwie o szynę”, wydobycie prawdziwe bohaterstwo, walka i niebezpieczeństwo, a ominięty fałszywy patos. O ile lepiej byli zrealizowani „Ludzie bez skrzydeł”.

„Stalowe serca“ mają być filmem o tych, którzy pracowali i walczyli w warunkach ciężkich i niebezpiecznych. Ludziom tym wyrządza się krzywdę, gdy przedstawia się ich (w kraju, w którym konspiracja, jak nigdzie weszła w krew i jest znana) jako nieprawdopodobnie łatwowiernych, gadatliwych, idących na lep prowokatora widzianego po raz pierwszy w życiu. Wyrządza się im krzywdę, odbierając im naturalność, robiąc z nich nie żywych ludzi lecz sztuczne, jednostronne lalki. Przekreślona jest prawda ich postaci i prawdziwość ich walki.

Dominiuje w tym filmie patos — patos zrobiony fałszywie. Tymczasem niewątpliwie bohaterstwo tych ludzi jest prawdziwe i zastępują oni na film prawdziwość. Uderza szereg podstawowych braków. Aktoży deklamują, gra ich jest jednostajna i jednostronna, stwarzane sylwetki nie przekonują. Jedynie dwie dobre postacie to posługaczka i stary majster (role charakterystyczne, od których nie wymagana jest posagowość). Trzeba stwierdzić — całość filmu stwarza wrażenie, że niedociągająca aktorskie nie są winą wykonawców lecz skutkiem koncepcji kierownictwa. Montaż niejasny i pełen dźwięczności (Maksimum osiągnięte w ostatniej scenie, gdy publiczność wychodzi nie mogąc się doczekać końca pochodów). Ograne chwytły dialog fatalny, chwilami bez treści, powolne tempo akcji ożywia się dopiero pod koniec filmu.

Krótkometrażówki polskie poziomem swoim daleko odbiegają od przeciętnego poziomu filmów długometrażowych. Czy powodem nie jest to, że opierają się one na faktach przy minimalnej zawartości fabuły? Pierwszy i jedyny jak dotąd dobry obraz „Ostatni etap”, opierał się na odzwierciedlaniu faktów. Istotą był obóz i elementy życia obozowego — nie dzieje pojedynczych bohaterów. Można by zaryzykować tezę, że film nasz nie umie jeszcze tworzyć — natomiast umie posiadany materiał przetransportować na ekran. Tam gdzie realizatorzy przekraczają te granice, z chwilą gdy odrywają się od faktu odrywają się jednocześnie od życia i nie umieją stworzyć samodzielnie postaci i sytuacji prawdziwych.

„Stalowe serca“ są przykładem nagromadzenia powstałych w wyobraźni patetycznych scen i idealnych typów, nfezyciowych i sztucznych. (Nieliczne wyjątki nie zmieniają ogólnego wrażenia). Daleko bardziej przekonuje robotnik z „Bitwy o szynę”, który ocierając rękawem nos w swoisty sposób tłumaczy przemówienie Niemca, niż niezłomny inżynier wygłaszający: Zmieniacie tylko posterunek — będziemy walczyć dalej, aż do zwycięstwa!

Materiał naszych przeżyć wojennych jest bardzo bogaty. Gdyby nie stworzono patetycznego eposu, gdyby ten materiał wykorzystano umiejętnie, mógłby niewątpliwie powstać

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

Szanowna Redakcjo!

W poprzednim numerze „Dziś i Jutro“, w liście moim o książce O. Jacka Woronieckiego zakradła się omyłka druku: zamiast „magistralna praca“ zecer dał „magistracka“.

Proponuję żeby następną pół milionową nagrodę „Dziś i Jutro“ przeznaczyć dla korektora, który puścił numer pisma bez jednego grubszego byka.

Aleksander Bocheński.

Szanowna Redakcjo!

„Rozmowa“ przeprowadzona w zespole redakcyjnym „Dziś i Jutro“, z którą się zapoznałem czytając Nr 20 niniejszego pisma, nasunęła mi myśl o stworzeniu Klubu Dyskusyjnego prowadzonego przez Członków Redakcji. Sądzę bowiem, że w po-

dobnych rozmowach chętnie wzięłyby udział wielu młodych ludzi, którym nie są obojętne zagadnienia życia narodowego. Ponieważ w Warszawie nie ma Klubu Dyskusyjnego o obliczu czysto katolickim przypuszczam, że inicjatywa ta spotkałaby się z dużym zainteresowaniem.

Jednym z punktów programu w wychowaniu naszego społeczeństwa winno być podniesienie jego zdolności do dyskusji. Z dyskusji rodzi się kompromis. A kompromis w życiu wewnętrznym narodu jest nie tylko jedyną drogą w pewnych sytuacjach, ale i podstawą, na której największe wspierają się potęgi.

Kłótniowość — jako cecha narodu — zastępuje u nas zdolności dyskusyjne. Każda więc praca w tym kierunku spotkać się powinna z uznaniem tak u społeczeństwa, jak i władz.

Dla katolików zorganizowanie klubu dyskusyjnego przez Redakcję

„Dziś i Jutro“ miałyby to ogromne znaczenie, że dyskutowane byłyby właśnie zagadnienia społeczne i kulturalne na gruncie doktryny katolickiej. Klub otwarty dla wszystkich zebrałby z czasem grono ludzi poważnie zainteresowanych postępowaniem społecznej myśli katolickiej, których współpraca byłaby jednym bodaj krokiem naprzód w realizowaniu chrześcijaństwa na polskiej niwie.

Łącząc wyrazy poważania
Aleksander Gella

ZBYTEK REALIZMU

Mam skompletować bibliotekę parafialną. Chciałbym dokupić coś z nowych rzeczy. Jestem bardzo ostrożny w wyborze, bo książki dziś drogie i nie wolno mi zmarnować żadnego grosza. A zresztą — biblioteka, jaka kompletuje, powinna zawierać tylko książki dobre. Chodzi mi o dobroć tak moralną, jak i literacką. Nie znam z lektury wszystkich, ale od czego są recenzje w pismach katolickich? Wertuje zeszyty bardzo poważnego tygodnika i wypisuję to, co by — wnioskuje z recenzji — dla moich czytelników się nadawało. Jest, Antoni Gołubiew: Bolesław Chrobry (część I. Puszca. Część II Szło nowe). Trochę to za drogie na naszą kieszeń, ale będzie rzecz poważna i nowego pisarza. Znam Gołubiewa z artykułów — bardzo dobry pisarz tak pod względem formy, jak i treści.

Zamówiłem i — wpadłem. Na stronie 24 części pierwszej czytam:

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIAŻKA“, WARSZAWA

Sinclair U.: KRÓL WĘGIEL, tłumaczenie Antoniny Sokolich, wyd. II, Warszawa, 1948, str. 462.

Tywlicz Marian: SPRAWA KS. PIOTRA SCIEGIENNEGO, Biblioteka Historyczna, okładka projektował Ludwik Tywlicz, Warszawa, 1948, str. 208.

USTAWA O PIĘCIOLETNIM PLANIE ROZWOJU GOSPODARKI NARODOWEJ F. L. JUGOSŁAWII, poprzedzona przemówieniami premiera J. B. Tito, Andrzeja Hebrańca i Borysa Kiedrzyca, okładka Z. Rychlickiego, Warszawa, 1948, str. 164.

Zambrowski R.: W WALCE O DOBROBYT WSI, przemówienie wygłoszone na zjeździe korespondentów „Chłopskiej Drogi“ dn. 6.III.48 r. str. 32.

Zółkiewska W.: KAPEL, nowela, okładkę projektowała Eugenia Różańska, Warszawa, 1948, str. 164.

PAŃSTWO I PRAWO, miesięcznik Nr 3, Organ Zrzeszenia Prawników Demokratów. Numer specjalny poświęcony zagadnieniom przestępstw międzynarodowych. Dodatki: cywilistyczny i prawno-karny. Skoro-widz za rok 1947, Warszawa, str. 192.

Brodziński Kazimierz: O KLASYCZNOŚCI I ROMANTYCZNOŚCI Wiesław, opracowała Janina Kulczycka-Saloni (Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych, Nr 30, pod red. Kazimierza Budzyka), Warszawa, 1948, str. 156 + XVIII.

Freuchen Peter: PRZYGODY NA ARKTYKU, przekład Antoniego Pańskiego, okładkę projektował Józef Rachwański, z praw. Tow. Wyd. „Rój“, Warszawa, 1948, str. 360.

KONSTYTUCJA REPUBLIKI FRANCUSKIEJ (Biblioteka Zrzeszenia Prawników Demokratów Nr 4 pod redakcją St. Ehrlich), wstępem opatrzył Konstanty Grzybowski, Warszawa, 1948, str. 112.

film nie gorszy od „Ostatniego etapu“.

Im poważniej traktujemy sprawę rozwoju polskiego filmu, tym silniej powinniśmy się przeciwstawić produkcji filmów poniżej poziomu. (— Tym bardziej, że przez nakreślenie „Ostatniego etapu“ Film Polski dał dowód, iż może produkować obrazy dobre). Nie możemy sobie pozwolić na złe filmy, musimy gospodarować oszczędnie. Dlaczego zaczynać od filmów, których realizacja stawia bardzo poważne wymagania i jest powodem wielu trudnych problemów. Dlaczego nie przetrząść ciężaru nauki i eksperymentowania na filmy lepsze, łatwiejsze w opracowaniu — ograniczyć ilość filmów trudnych. Niech to będą na projektowane w 1948 r. sześć tylko dwa, lecz przygotowane jak najstaranniej. Zagadnieniem chwili jest nie ilość lecz jakość. Jeżeli film ma iść do publiczności w kraju, jeżeli ma wejść na rynki zagraniczne — nie może być kieckim.

Leszcza.

Nadesłano

Gojdar Arkadiusz: LOS DOBOSZA, tłum. Helena Bobińska, ilustrował Zdzisław Rychlicki, Warszawa, 1948, str. 192.

Ibarruri Dolores: HISPANIA WALCZY O WOLNOŚĆ, przekład Leo Hochberga, z zagadnień międzynarodowych, Warszawa, 1948, str. 32. **KARTKI Z DZIENNIKA ARYSTOKRATKI**, opracował Wojciech Kacper, przedmowa Adama Polewki, okładka Stefana Bernacińskiego, Warszawa, 1948, str. 72.

Lofting Hugh: POCTA DOKTORA DOLITTLE, powieść dla młodzieży, przekład Janiny Mortkowiczowej, okładka Teresy Roszkowskiej, z wydawnictw J. Mortkowicza, Warszawa, 1948, str. 256.

Markowski Julian: PODRECZNIK PRAWA MIĘDZYNARODOWEGO (Biblioteka Zrzeszenia Prawników Demokratów pod red. Ehrlich), Warszawa, 1948, str. 772.

Prus Bolesław (Głowacki Aleksander): EMANCYPANTKI, cztery tomy, Warszawa, 1948, tom I — str. 318, tom II — str. 240, tom III — str. 232, tom IV — str. 348.

Mendel Jan Grzegorz: PRACE NAUKOWE, przekład i wstęp d-ra Jana Wilczyńskiego, według VI-randa i z przypisami, Warszawa, 1948, str. 70 + XVII.

WYDAWNICTWO GEBETHNER I WOLF, WARSZAWA **H. Boguszevska i J. Kornacki** — zespół literacki „Przedmieście“: **WISŁA**, powieść, Warszawa, 1948, str. 315.

Zaleska M. J.: MŁODY WYGNA-NIEC, przygody wśród puszczy i stepów amerykańskich, opracowane według E. Rotha, z ośmiu rysunkami St. Wolskiego, wydanie trzynaste, Warszawa, 1948, str. 336.

WYDAWNICTWO KASY IM. MIANOWSKIEGO — INSTYTUTU POPIERANIA NAUKI **Maria Hornowska i Halina Zdzitowiecka-Jasińska: ZBIORY REKOPISMIENNE W POLSCE ŚREDNIOWIECZNEJ**, wydano przy pomocy zasiłków Min. Oświaty i Centralnego Urzędu Planowania, Warszawa, 1947, str. 575.

Biblioteka prozaików greckich i łacińskich: **DZIEŁA TACYTA**, IV przekład i wstępem poprzedził Seweryn Hammer, wyd. przy pomocy zasiłków Min. Oświaty i Centralnego Urzędu Planowania, Warszawa, 1947, str. 330.

NAUKA POLSKA. JEJ POTRZEBY, ORGANIZACJA I ROZWÓJ, XXV tom, Uniwersytet, Warszawa, 1947, str. 590 + 2 + X.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK“ **Tolstoj Aleksy: PIOTR I**, powieść przekład Andrzeja Stawara, wydanie nowe, Warszawa, 1948, 3 tomy, tom I — str. 401, tom II — str. 339, tom III — str. 186.

Zeromski Stefan: WIERNIA RZEKA, klechda, pisma pod red. Stani-

śława Pigonia, tom XV, krytyczne przygotowanie tekstu przeprowadził zespół członków Seminarium Hist. Lit. polskiej U. J. pod kierownictwem prof. dr. Stanisława Pigonia, Warszawa, 1948, str. 155.

Jez Teodor Tomasz: NARZECZONA HARAMBASZY, powieść z dziejów Słowiańszczyzny południowej, tekst wg. wydania z 1882 r., przygotował do druku Adam Lewak, Warszawa, 1948, str. 199.

Zabińska Antonina: RYSICE, Warszawa, 1948, str. 80.

Kossak Zofia: NIEZNANY KRAJ, opowiadania (wybór), okładkę projektował K. M. Sopoćko, Warszawa, 1948, str. 183.

Centkiewicz Czesław J.: CZELUSKIN, wydanie trzecie, poprawione i uzupełnione, Warszawa, 1948, str. 77.

Gałczyński Konstanty Ildefons: ZACZAROWANA DOROŻKA, wiersze, Kraków, 1948, str. 114.

Żuławski Juliusz: POLE WIDZENIA, wiersze, Kraków, 1948, str. 29.

Dąbrowski B.: BIBLIOTEKA ROMANSÓW I POWIEŚCI Nr 4: 114-sta Start, Warszawa, 1948, str. 64.

Sieroszewski W.: BIBLIOTEKA ROMANSÓW I POWIEŚCI Nr 5: Bokser, Kulisi, Dno nędzy, Warszawa, 1948, str. 64.

Omniбус — BIBLIOTECZKA NIE-PRÓŻNUJĄCEGO PRÓŻNIACTWA:

1. **Taszycki Witold: JAK KOBIE-TA W NIEWIASTĘ SIĘ PRZE-OBRAZIŁA**, Kraków, 1948, str. 16.

2. **Szarski Henryk: JAK ROŚNIE PAZNOKIEC**, Kraków, 1948, str. 16.

3. **Gumiński Kazimierz: JAK ZWA-ZONO POWIETRZE**, Kraków, 1948, str. 32.

4. **Gumiński Kazimierz: GDY NA-TURA JEST PRZEKORNA**, Kraków, 1948, str. 32.

5. **Kulezycki Adam: TAJNIKI SERCA LUDZKIEGO**, Kraków, 1948, str. 30.

6. **Gumiński Kazimierz: ILE CZŁO-WIEK ZJADA WĘGLA**, Kraków, 1948, str. 31.

KSIEGARNIA

ŚW. JACKA, KATOWICE **Burger Elżbieta: 40 LAT W SŁUŻ-BIE BOCIANA**, z pamiętnika położnej, napisała L. B., Katowice, 1947, str. 273.

Posadzowa Maria: OBRAZKI DLA DZIECI, ilustrowała Maria Dobrowolska, Katowice, 1947, str. 60.

Wardasówna Maria: REKORD WŁADKA DZIECIOŁA, powieść lotnicza dla młodzieży, przedmowa Janusza Meissnera, Katowice, 1947, str. 151.

TRZASKA, EVERT I MICHAŁSKI **PUBLICYSTYKA POZYTYWI-ZMU**, wybór. Biblioteka Autorów polskich Nr 3, opracowali E. Sawrynowicz i T. Wojeński, Warszawa, 1948, str. 228.

„Mieszka przygarnął łapczywie Dobrawę, przywalił ją swym ciężarem, rozdygotany i żądny, namiętny zwierzę puszczy. Gałęzie szumiały pod wiatrem, ledźwia były pełne chuci i spazmów“.

Na stronie 143 tej samej części: „kiedy ostali sami, (Bołko) krzyknął ostro:

— Rozdziewaj się. Nawalił się chutnie. Co noc. Po dziecięciu miesiącach Węgierka porodziła mu syna“.

Nie, książki tej nie dam do biblioteki parafialnej, zbyt wielki realizm w przedstawianiu jurności i pierwotności naszych przodków. Całe ich słownictwo to według naszych pojęć — ohyda; ich uczucia i pożądania — to zwierzęca chuć i najprzerwotniejsze instynkty. W przedstawieniu początków chrześcijaństwa na naszej ziemi. Cała poezja jest po stronie tępotnego bałwochwalstwa.

Może to i tak wszystko było — nie czynię zarzutu autorowi ni ze stanowiska historycznego, ni literackiego nawet — ale mam żal do niego za zbyt, a często niepotrzebny (np. w scenach miłosnych) realizm, bo wydałem około tysiąca złotych, a książki nie mogę dać do biblioteki parafialnej.

Jeszcze większy mam żal do Pana Recenzenta i Księdza Redaktora, że nie zwrócili mi na tę cechę utworu uwagi w piśmie katolickim.

Ks. Franciszek Błotnicki

Dr Buczkowski Stefan: PRZEDSIĘBIORSTWO PAŃSTWOWE. CHARAKTERYSTYKA PRAWNA. Biblioteka Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, seria II, Nr 4, wydano z zasiłkiem S. G. H., Warszawa, 1948, str. 116.

ALBERTINUM — KSIEGARNIA ŚW. WOJCIECHA, POZNAŃ **Czeska — Mączynska Maria: RYCERZ CHRYSZTUSOWY**, powieść historyczna na tle życia św. Wojciecha, okładkę i drzeworyty projektował i wykonał Edward Kuczyński z Tomunia, wydanie II, Poznań, 1947, str. 228.

Biskup Karol Radziński: ŚWIECI I BŁOGOSŁAWIENI KOSCIOŁA KATOLICKIEGO, encyklopedia hagiograficzna, Poznań, 1947, str. VIII + 528.

Św. Ludwik Maria Grignon de Montfort (1673 — 1716): O DOSKONAŁYM NABOŻENSTWIE DO NAJSWIETSZEJ MARII PANNY, tłumaczyła Helena Brownsfordowa, przejrzał i przedmową poprzedził ks. dr. Aleksander Zychliński, wydanie drugie, Poznań, 1947, str. XXVIII + 340.

Ks. dr Cz. Piotrowski: KATECHIZM PODSTAWOWY, Poznań, 1947, str. 96.

Sac. Stephanus Durzyński: IN UNO CORPORE UNUS SANGUINIS. Festo anniversario Martyrii Gloriosissimi, Poznań, 1947, str. 72.

M. Alojzy Bankowska O. S. U.: PEŁNIA ŻYCIA POD OKIEM MARI, Poznań, 1947, str. 60.

VERBUM — KSIEGARNIA „JEDNOŚĆ“ W KIELCACH **PRZYJAŹŃ CHRZEŚCIJAŃSKA**, zbiór studiów. Biblioteczka Szkoły Chrystusowej I, Kielce, 1948, str. 106

WYDAWNICTWO S. ARCTA W WARSZAWIE

Mgr Stanisław Wejroch — radca w Ministerstwie Skarbu: USTAWA O OBOWIĄZKU SPOŁECZNEGO OSZCZĘDZANIA, wskazówki praktyczne do Ustaw i Rozporządzeń składki i roczne wkłady oszczędnościowe prywatnego przemysłu rzemiosła, handlu i usług, rolnictwa, pracowników najemnych. Wskazania praktyczne zasad obliczania i wnoszenia świadczeń oszczędnościowych. Tabela składek. Uprawnienia oszczędzających, Warszawa, 1948, str. 62.

NAKLAD DJECEJALNEGO KOŁA XX PREFEKTOŃ WE WROCLAWIU

Ojciec Tymoteusz Frankus: WSPOLNA MSZA ŚW., przygotowanie do Mszy Liturgicznej, Wrocław, 1948, str. 64.

MIĘDZYNARODOWE BIURO PRACY

Międzynarodowe Zagadnienia Gopodarczo - Społeczne, Sprawozdanie Dyrektora Generalnego Międzynarodowego Biura Pracy, przedłożone 30-tej Sesji Międzynarodowej Konferencji Pracy, Genewa 1947. Skład Główny: Spółdzielnia wydawnicza „Wiedza“, Warszawa, Lwowska 5 Warszawa, 1948, str. 152.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyński.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71, Konto P.K.O. — Nr. 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych

E-50069